



Zaloty w zwierzyńcu

4549 II / 1939

Nr 178

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Zima w całej pełni. Odezuwa to nasza cera, którą trudno ustrzec przed zmianami powietrza, mrozem, śniegiem i wiatrami. Radzę więc specjalnie zwracać na to uwagę, aby chronić twarz i ręce, i zachować ich delikatność i białość. Do rąk radzę stale stosować *Krem Prątałów*, który należy wcierać zawsze po myciu rąk, a ręce zawsze będą gładkie i białe. Twarz myć na noc w ciepłej wodzie *otrąbkami Abaridowymi* i po wytarciu wetrzeć cokolwiek *kremu Abaridowego*, oraz przypudrować *pułdrem Abarid*. Jeszcze raz przypominam, że przy stałym użyciu *wyrobów Abaridowych*, twarz zawsze będzie gładka i bez zmarszczek, z odcieniem młodzieńczej świeżości. Rano nie myć twarzy, lecz odświeżyć watą zmoczoną we *wschodnim płynie Mimosa*. Włosów nie myć w zimnej wodzie, gdyż łatwo zaziębić skórę głowy, wskutek czego włosy się osłabiają i wychodzą. Do odtłuszczenia włosów i wymycia radzę stosować *pułdren Florentin*, który wtrzępuje się we włosy, a następnie wyczesuje szczotką i gęstym grzebieniem. Jeżeli jest łupież, to bardzo łatwo go usunąć, stosując płyn *Tetrał*, który jest radykalnym środkiem, i już po 2-ch—3-ch użyciach łupież ginie i włosy przestają wychodzić. Wszystkie te środki stosuję od kilkunastu lat z powodzeniem i śmiało je polecam moim Czytelniczkom, będąc pewną, że wszystkie Panie, które je będą stosować bez wątpienia będą zadowolone z osiągniętych rezultatów.

M-me Ercédes

T R E Ś Ć N U M E R U

Na F. I. S.	4
<i>Jerzy Sz.</i> — Legendy Bałtyku Litewskiego	11
<i>Bogdan Żyranik</i> — Będzie pieczone	16
<i>E. Szermentowski</i> — Jour Fixe	17
<i>Mgr. Stanisław Weiss</i> — Tysiąc słów o Danii	20
<i>Korwin</i> — Zdrada	28
<i>Zygmunt Koczorowski</i> — Urok starzyzny	33
<i>Dżennet Dżakagi</i> — Pierwsza szkoła sztuki teatralnej w Turcji	37
<i>M. Zydler</i> — Przy kuflu piwa	41
<i>Tibor Csorba</i> — Sen igły	44
<i>E. Zamacoës</i> — Tajemnicza śmierć donny Luz Esteban	52
<i>E. S.</i> — Marsjanie w Warszawie	59
<i>Jan Kanty Leszczyc</i> — Klechdy lasów północnych	65
<i>Skelbo</i> — Człowiek w masce	70
Rozrywki umysłowe	78

Rysunki — *M. Ciągłińskiej i M. Szczęśniewskiej i E. Umańskiego*

Na okładce — *Krystyna Söfnerbaum*, bohaterka filmu „Nieśmiertelne Serca”
jest miłośniczką sportów zimowych.
Fot. „Polski Tobis”.

Cennik ogłoszeń: $\frac{1}{1}$ strona zł 800.—, $\frac{1}{2}$ str. zł 450.—, $\frac{1}{4}$ str. zł 250.—,
 $\frac{1}{8}$ str. zł 150.—, $\frac{1}{16}$ str. zł 100.—.

za wiersz milimetrowy jednoszpaltowy lub jego miejsce zł 2.50.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Zgoda 12, tel. 5-22-14

Administracja czynna codziennie od godz. 13 do 15

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką

zł 3.50 — za granicą zł 6.50.

Zeszyt pojedynczy 1.50 zł.

*Rękopisów i fotografii nie zamówionych Redakcja nie przechowuje
i nie zwraca.*

Redaktor BRONISŁAW BRENERT. T-WO WYD. „DROGA” sp. z o. o.

Druk. Wacław Zajączkowski, Chłodna 37, tel. 669-46.

NAOKOŁO ŚWIATA

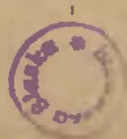
Nr 178

LUTY

ROK 1939



Heli Finkenzeller gwiazda „Tobisu”. Fot. Polski Tobis





NA F. I. S.

Rysunki E. Umańskiego, tekst Malkontenta

Rozkoszne, swojskie, zakopiańskie sanie!...

To nie to co wagon, tu nie wiesz co ścisk!...

Już jadą... Iks panów, dziecieczki, trzy panie.

Gazda, ygrek par desek... Niechaj żyje FIS!



*Na kolejce sami ważni narciarze,
arcymistrze... (z wyraźnej przyczyny...
Jak to zjeżdża, to się jeszcze okaże...
A podejście jest zasługą tej liny)...*



Będzie wreszcie Francuz, Anglik wiedział.

(Już go nikt przekonać nie potrafi...)

Że Polska to kraina białego niedźwiedzia...

(Na podstawie tej ciperskiej fotografii).

— Udały mi się dzisiaj skoki!...
Nadepnie narciarz w Morskim Oku,
A ona robiąc perskie oko
klnie swe odciski i ból w boku...



— *Panie Gary, bierz udział w zabawie...*

— *F I S doprawdy jest wielką podniecią*

— *A ja pani balonik postawię —*

Tak gwarzył łódzki Cooper z zakopiańską Gretą...

(Albo odwrotnie...)





— Z pana podobno narciarz zawołany...
Fisiarz, slalomiarz z niebotycznych grani...
— Pani zawoła... ja mieszkam o ścianę...
Dziś start i meta u stóp twoich, pani...

*Ach, gdyby nie to Zakopane
toby w Warszawie człek przy bridżu skisł...
Niemasz jak narty, Tatry ukochane...
Pięć bez atu... Kontra... Niech nam żyje F i S...*





Ze zdobyczą z morza litewskiego

Legendy Bałtyku Litewskiego

Małeńki kawałek pomorza, tak ukochany przez każdego Litwina. Pas piasków, obrosłych pięknymi lasami... Czyż może być dziwne, że ten wąski pas ziemi litewskiej jest tak drogi, zdobyty napowrót po kilkuset latach. Przecież pó za tym pasem, szumią fale litewskiego morza.

Neringa. Tak nazywają Litwini 60 kilometrowe wąskie pasmo, idące od Kłajpedy aż do ostatniej litewskiej przystani morskiej — Nidy. Imieniem legendarnej królowny nazywają ten piękny zakątek Litwini, a Prusacy przerobili to po swojemu: „Kurische Nehrung“.

Piękna bogini pomorza litewskiego władała kiedyś przed wiekami krajem rybaków, lecz była zła, ponieważ bogom pomorza musiała każdego roku oddawać ofiarę: młodą dziewczynę. Aż jednego razu oddała morzu rywalkę swą: i ona i ta druga kochały się w tym samym pięknym księciu... Zagniewani bogowie, za klęskę królowny Neringi odpłacili bardzo srogo: falami morza zaleli ten piękny kraj... Powracająca fala wyryla pasmo piasków — teraźniejszą Neringę. A później przyszły inne legendy: o śmiałym, odważnym wojaku pruskim Herkusie Moncie, który sprzeciwiał się

Gruźlica płuc jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla poci, wieku i stanu, pociągaa bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych, bronchitu, grypy, uporeczywego, męczącego kaszlu itp. stosują pp. lekarze „Balsam Tricolan Age” (dawniejsza nazwa „Balsam Thio-colan Age), który ułatwia wydzielanie się plwociny, zmniejsza kaszel.

dlugo niewoli groźnych krzyżaków, dopóki padł... A później przyszła niewola. Obcy duch władał nad krajem pomorza litewskiego. Wieki minęły, kraj powrócił do macierzy litewskiej, lecz inni — nie do poznania... Rybacy mówili mową ojczyzną, synowie zaś ich — po niemiecku, po cudzemu. Stare miasto Kłajpedzkie stało się prowincjonal-

nym miasteczkiem Prus wschodnich i pozostało nim dotychczas.

Zabłąkany tu turysta dziwi się: czyta na szyldach imiona litewskie lecz powykęcane po niemiecku. Prawdziwi Litwini, jak „Baldžus“, „Jonelaitis“, „Jakstas“, „Kursaitis“, przerodzili się na „Baldschus“. Ojcowie ich nie umieli jeszcze po niemiecku, a dzieci z zasady nie chcą znać ojczyznej mowy, a znów dzieci ich noszą białe skarpetki młodzieży hitlerowskiej.

Dziwny, romantyczny jest ten kraj pomorza litewskiego. Latem ubiegłego roku przybywali tu turyści. W przystani Jachtklubu Kłajpedzkiego gościł nie jeden jacht polski: powiewała na maszcie przystani flaga polska... Pierwsze kroki na ziemi litewskiej — na Nerindze. Piękny las, słoneczny brzeg morza.. Goście z dalekiej, a też i bardzo bliskiej nam Polski, zwiedzali miasto, spacerowali po brzegu... Chwa-

Nerynga Litewska: pierwszy gość w morzu litewskim daje przykład mieszkańcom Kłajpedy





Miasteczko Nida w Neryndze Litewskiej

„Herby“ rybaków litewskich lśnią w słońcu na maszlach żaglowców



DOM FILATELISTYCZNO-WYDAWNICZY

ARKADIUSZ PACHOŃSKI

Warszawa, ul. Jasna 16, tel. 657-68

Poleca: znaczki całego świata w seriach i pojedyncze sztuki, różne odmiany znaczków Polski, katalogi do znaczków całego świata, przybory filatelistyczne.

Wydaje: albumy do znaczków Polski i całego świata. — Opuściły prasę drukarską następujące albumy do znaczków pocztowych, bogato ilustrowane, każdy kraj nabywać można osobno:

Norwegia zł. 1.25, Belgia zł. 3.—, Czechosłowacja zł. 2.—, Francja zł. 2.—, Finlandia zł. 1.20, Niemcy zł. 3.—, Rosja zł. 4.—, Włochy zł. 4.—. Album do znaczków całego świata Nr. 9 cena zł. 6.— i zł. 8.50, album Nr. 14 zł. 19.— i zł. 26.—, album Nr. 15 zł. 30.— i zł. 37.—, cennik bezpłatnie

lili i dziwili się... Przecież tu kraj litewski: turyści z Polski nauczyli się kilku dziwnych słów miejscowego narzeczu. Pytałem jednego z nich: „Jak wygląda Kłajpeda: czy jest to litewskie, czy też niemieckie miasto?” Odpowiedział zdziwiony: „Nie odniosłem wrażenia, że to jest miasto niemieckie”. I opowiadał, że jeżeli u nas widoczne są zjawiska nieprzytomnej nienawiści, to raczej bardzo mało ich, bo Polacy w Gdańsku mają ten sam problemat. I ci wynarodowieni Polacy są o wiele nieprzyjemni od prawdziwych sąsiadów wspólnych Polski i Litwy.

Lecz każdy Litwin dobrze wie, że morze jest punktem wyjścia, istotą ich egzystencji narodowej. Na Litwie każdy ma jedyny cel: nie umrzeć, nie ujrzawszy morza swego... A zatem miłość ku cichym falom Bałtyku wkojarzona głęboko w sercu każdego Litwina. Warto walczyć, bo bez tego kawałka pomorza, bez błękitnych fal Bałtyku, nie można sobie wyobrazić życia Litwina. A więc wiosną i latem liczne wycieczki odwiedzają brzeg Bałtyku, błogosławią falom i piaskom nieurodzajnym, a tak bardzo ko-

chanym, aby powrócić do swych wsi, zmienionych dziś nie do poznania. Liczne reportaże z Litwy w prasie polskiej jednoznacznie ukazywały na rosnący dobrobyt Litwy.

Wiemy, że w Polsce dotychczas panuje opinia o Litwie, jako o kraju egzotycznym. Niemal każdy turysta, obiecujący odwiedzić Litwę, spodziewa się przyjechać do kraju dziwnego i pięknego, jak dżungle indyjskie. Jest w tym odrobina prawdy: ziemia Litwy, szczególnie zaś pomorze litewskie jest krajem, może najwięcej w Europie owianym romantyzmem. Smutne melodyjne pieśni ludowe, smutkalisy na Żmudzi, pracujący w pocie czoła wieśniacy, piękne lasy, góry i podgórze — tak, to romantyka ziemi litewskiej. Lecz za to miasta litewskie szalonym tempem ścigają Europę, swoista kultura rośnie razem z pokoleniem młodej Litwy. Dziś każdemu Litwinowi, wstępującemu w szeregi walczyć o dobrobyt ojczyzny, z zadaniem jest zatrzymać po długich wiekach powrócony ku ojczyźnie kawałek pomorza.

JERZY SZ. — Kłajpeda

REUMATYKOM

szczególnie dają się we znaki nagłe i częste zmiany pogody. Bóle reumatyczne i artretyczne uśmierza Total. Tabletki Total stosowane w dawkach po 2-3 tabletek 3 razy dziennie przynoszą ulgę w tych cierpieniach.



Ilse Werner w filmie „Bel - Ami”. Fot. Polski Tobis

BĘDZIE PIECZYSTE!

Rankiem o ostrej piosnce skowronka, gdy — w gęstwie, w zieleni nasiąklej słońcem, we mgle wiosennych powiewów, powiewów o zapachu igliwnym, upajającym. — — naraz z pod nóg mych wyrwał kot. Padam nań wyciągnięty — zachłannie rękoma.

Jego uskok błyskawiczny — i zatrzymanie się w miejscu. Rozpaczliwe rwanie się... w miejscu.

Ki dia...?! Aeh, — sidła! Nie może szyi wyzwolić z dławiącego ich uchwytu, nie może odbiec krzaka żarnowcowego, z którym złczył go chropawy drut. Kto wie jak długo już dusi go zdradziecki metal?

Przerażenie wзира z przekrwionych ślepek. Ból, zacisk gardła... Trwogą we łbie aż huczy groza!.. Dwie grozy razem! Dwa nieszczęścia w łebku obolałym rosną.

Zajęczku, malusi — nie bój... cieściesiu... — mówię jak do dziadziusia, jak do konika.

Nie zmieniając pozycji dotykam drutu, staram się rozluźnić. Nie chwytam jednak u gardła, bo by szarpnął się, zaciskając drut bardziej. Szarak zaprzestał przykrótkiej — na ile drut pozwalał — ucieczki, przestaje wyrwać się, staje... I nagle przybliża się — tuż. Patrzy na mnie obolałe... pyszczek odęty wysiłkiem oddechu...

Wtem na gołych kolanach czuję wlochatą miękkość wąskich łapek — spoczywają one nieruchomo chwilę ostatnim zajęczym błaganiem. Na wprost mnie — oczy rozwarłe szeroko... I... i... zajęc pyszczkiem lodętym uderzył zlekka w moje kolano.

Boże!.. A wnyk nie daje się jeszcze rozluźnić...

Na pół bezwładnie osuwa się zwierzę z mych kolan.

Tylko te oczy... Oczy przeraźliwie rozszerzone, jakby poza ten las, poza pagórki, poza granice zajęczego świata.

Pędzę do domu po jakieś narzędzie do przecinania drutu!

Zając siedzi nieruchomy, wygląda jak w pół śnie. Nie widzi mnie. Zamierzam zdala mu się ukazać, by nagłym zjawieniem nie przestraszyć. Chcę zbliżyć się powoli, mówiąc, jak przed tym, pieszczolliwie. Trzask łamiącego się chrustu pod nogami mymi... Mieszkaniec gęstwy leśnej słyszy kroki ludzkie... Widzi człowieka. Ocyka się w nim zwierzęcy strach przed wrogiem zwierzęcego świata.

Szarpie się rozpaczliwym beznadziejnym wysiłkiem — i znów i znów hól — i strach nim miotają. Ostry drut zaciska gardło, i strach dławiący jak drut.

Przewraca się puszystym brzuchem do góry, w ostatniej męce drygnie nogami oszalałymi.

W domu rozpoznaliśmy w nim zajęczyce. Młoda, po pierwszym okicie. A więc dla tego tak rozpaczliwie, błagając wyrwała się do tych swoich śmiesznych maleństw, którym w niepozornej kotłowni pod świerkiem tak w sobie pusto i niecierpliwie, tak tęsknawo zaczęła niecznośnie — za kroplą ożywej wilgoci, za kojącym ciepłem maleźniego brzuszka.

Napróżno chciało im się żyć, maleństwow. Jak matec. Wyciśnięte żartem mleko z martwych jej sutek nigdy już nie napoi żałośliwie furczących zajęczków: zagina. Na śmierć zadławi je głód, jak sidła — zajęczyce.

Z unęzionej matki będzie piecyste...

BOGDAN ŻYRANIK



JOUR FIXE

Teresa: Karolku, daj mi złotówkę. Chłopiec przyniósł z drukarni te zaproszenia...

Karol: Proszę cię. Bardzo ładnie wydrukowane. (Czyta) Karolosiwo Morn mają zaszczyt prosić JWP (mruczy w dalszym ciągu)... Owszem, bardzo ładnie wydrukowane.

Tereso, czy masz już listę gości których zaprosimy.

Teresa: Przepraszam cię, ale nie miałam czasu. Sądziłam, że razem to omówimy. Ty wiesz, że ja nie mam pojęcia, kogo trzeba prosić...

Karol: Co do mnie zapraszam tylko tych których lubię i tych którzy

mi są potrzebni. Od kogo więc zaczniemy?

Teresa No więc Kociatkiewiczowie, Psiapsiulewiczowie...

Karol Ależ Tereniu, Psiapsiulewiczowa nie znosi się z Kociatkiewiczem, bo na przyjęciu u konsula Semigalii Kociatkiewicz miał się wyrazić, że Psiapsiulewiczowa jest snobką.

Teresa Masz rację. Na śmierć zapomniałam. Kociatkiewiczowie odpadają więc. Zaadresuj, Karolu, kopertę do Psiapsiulewiczów. Zaadresowałeś?

Karol Zaadresowałem.

Teresa. Doskonale. To teraz trzeba zaprosić Podstolińskich. Podstoliński obiecał posadę dla Zypcia. Zaadresowałeś.

Karol Zaadresowałem. Kobieto! przypomniałem sobie, że przecież babka Podstolińskich jest Żydówką. A Psiapsiulewicz jest endekiem i gotów Podstolińskiemu zrobić afront.

Teresa Prawda. Więc podrzyj zaproszenie do Psiapsiulewiczów. Z Podstolińskimi trzeba się liczyć. Choćby ze względu na Zypcia i na tę jego posadę. Pisz teraz: Ząbelkiewiczowie. Napisałeś?

Karol ...owie. Napisałem.

Teresa Och, niedobrze!

Karol Co znowu niedobrze!

Teresa Przypomniałam sobie, że Ząbelkiewicz należy do Ozonu. Czy zapomniałeś, Karolu, ostatnią deklarację Ozonu o polityce inflacyjnej. Wiesz przecież, że jej autorem jest Ząbelkiewicz. A Podstoliński jest zwolennikiem deflacji, więc jak się spotkają, to się pożrą, jak niedawno u Rypajłowskich. I co my teraz zrobimy?

Karol W takim razie Podstolińscy muszą odpaść. Ty wiesz, Tereniu, że z Ząbelkiewiczami muszę się liczyć... Któż tam jeszcze? Aha, konsul Semigalii. Pan Nudaraga-Bey z poselstwa albańskiego...

Teresa Ależ, Karolu, zapominasz, że Albania jest na noże z Semiga-

lią! Ci panowie mogą sobie do oczu skoczyć!

Karol Masz babo redutę; A wszystkim winien Ząbelkiewicz, który pośredniczył w sprawie dostaw tych armatek dla Semigalii. Armaty okazały się takim szmelcem, że Semigalia z miejsca musiała kapitulować. Nie, w żaden sposób nie można dopuścić do spotkania Ząbelkiewicza z Semigalią i Semigalii z Albanią. Trzeba ich wszystkich skreślić.

Teresa Skreśliłeś, Karolu?

Karol Skreśliłem. No, ale ktoś pozostanie w takim razie na tym przyjęciu?

Teresa Należało by może zaprosić jednak tego twojego dentystę Świdrypailłę. Bardzo sympatyczny człowiek. No i Świstakiewicza, który uratował naszą Pimpunię...

Karol Brawo! Pierwszorzędne przyjęcie! Odpadł handel, przemysł, finanse! Odpadła dyplomacja. Odpadli parlamentarzyści, a zostali tylko dentysta i weterynarz! Nie, Tereso, takie przyjęcie jest diabła warte... I to się nazywa zjednoczenie narodowe! To się nazywa obóz narodowy, kiedy na głupie przyjęcie, na niewinny jour fixe nie podobna skompletować gości! Dobrze więc, niech sobie będą dentysta i weterynarz. Proszę bardzo. Już adresuję...

Teresa Och, Karolu, wstrzymaj się z pisanie! Czekaaj! Czy zapomniałeś już, że Świdrypaillo nie był w Świstakiewicza.

Karol A to czemu? Czy także mu dostarczał zdezelowane armatki? Czy Świstakiewicz również ma babcię żydówkę. A może dentysta Świdrypaillo jest fanatykiem spolszczenia miast i dlatego nie uznaje Świstakiewicza, który jest za asymilacją?! Mów-że, Tereso, dlaczego nie możemy zaprosić Świdrypailły i Świstakiewicza? Mów, bo inaczej czuję, że stanie się nieszczęście...

Teresa Czy przypominasz sobie, Karolu, pewien felieton w „Kurie-

rze". Otóż Świstakiewicz uśmiercił niedawno ulubioną pinczerkę Świdrypailłow i Świdrypaillo przez zemstę wydrukował w „Kurierze“ felieton, w którym w ostry sposób zaatakował filatelistów. Użył nawet, pamiętam, wyrażenia, że wszyscy filateliści to cymbały.

Karol Nic a nic nie rozumiem! Mów że wyraźnie. Tereso, co ma wspólnego dentystyka z filatelistyką...

Teresa Owszem, ma, bo Świdrypaillo jest prezesem Miłośników Filatelistyki.

Karol Tereso, kasujemy jour fixy! Wszystkie zaproszenia rzucam w ogień! Ooo! I wypisuje się z OZN'u! Bo nie wierzę w zjednoczenie trzydziestu milionów tam gdzie nawet dziesięć osób ma ochotę brać się za łyby!

E. SZERMENTOWSKI

Ilustracje M. Sześćniewskiej





Dom narciarski w odległości 30 km od Reykjavíku

Tysiąc słów o Danii

Na czasach dzisiejszych na ich rozwój historyczny wybitne piętno wyciskają państwa o dużym, politycznym znaczeniu. Relacjonowanie o ich przemianach wewnętrznych i zewnętrznych tendencjach oło zadanie na wypełnienie którego nastawiony jest ogromny współczesny aparat informacyjny.

Nazwy mocarstw, nazwiska przewodców krzyczą ku nam codziennie czarnymi nagłówkami gazet, powtarzają je głośniki radiowe, przypominają o nich zapelnione morza-
gające taśmy filmu.

Na tym tle warto choćby dla kontrastu rzucić parę inpresyj i garść



Sokół islandzki, najbardziej wartościowy ptak dla myśliwych



Stado owiec opuszcza żyzne połoniny duńskie

informacji o państwie, które może o sobie powiedzieć, że „drzwi od Europy zamknęło hałasów” — o małym królestwie Danii, leżącym jak gdyby na bocznym torze wielkich europejskich wydarzeń, na marginesie politycznych sensacji.

W wieczór zimowy przypomnieć sobie miło ów dzień letni, gdy z pokładu „Kościszki” oglądaliśmy bezpretensjonalną rzeźbę Nimfy patrzącej w zadumaniu z głazów kamiennych na morze.

Po minięciu tej popularnej statui, postaci wyjętej z baśni Andersena tak charakterystycznej dla stanowiącej jej tło Kopenhagi na kamiennym nadbrzeżu doku Lange Linie wylądowało paręset polskich turystów.

Kopenhaga zwiedzana ma dwa oblicza.

Jedno jej oblicze to monumental-

ne gmachy o olbrzymich kopulach wsparte na klasycznych kolumnach, zamki, liczne borge, wśród nich Amalienborg, siedziba obecnie panującego króla Chrystiana X., bogate glyptoteki, muzea, ze sławnym muzeum rzeźbiarza Torwaldsena na czele. To ostatnie wywiera duże wrażenie dziesiątkami odznaczających się niezwykle wdziękiem marmurowych płaskorzeźb i postaci, a wśród nich oryginałami pomników warszawskich ks. Poniatowskiego i Kopernika.

Drugie oblicze tego miasta to Kopenhaga żywa — wielkich domów towarowych — mile uśmiechniętych młodych twarzy, blond dziewcząt duńskich — ulic tętniących ruchem z płynącymi nieprzerwanie strumieniami rowerów — to wreszcie Tivoli — sławny park rozrywkowy, wypełniony po brzegi tysiącnymi



Halafoss — Wodospad w dolinie Thjorar wysokości 105 m. (Islandia)



Piękne góry w Islandii — wymarzone miejsce dla narciarzy

tłumami, rozbrzmiewający muzyką, wirujący karuzelami, nocą kolorowy od świateł, istne królestwo bez-troski.

Od Kopenhagi droga nie daleka obok bloków domów robotniczych, przedmieść, poprzez schludnie zagospodarowany rolniczy kraj do Hillerød. Małe to niezwykle czyste miasteczko, przecięte jest doskonałą szosą wzdłuż której stoją pośród ogródków niewielkie domki.

Drogą mkną nieustannie auta, jadą rowery pojedynczo, wycieczkowymi gromadami lub tandemami, których pedały naciskają młode pary. Zdąża to wszystko do leżącego opodal dawnego zamku królewskiego Frederiksborg, który przewodniki oznaczają jako jedną z największych atrakcyj krajów skandynawskich.

Jest to doprawdy imponujący warowny stawem i zwodzonymi mo-

stami broniony zamek, który we wnętrzu swym zawiera nagromadzone skarby sztuki, galerie obrazów, bogactwa rzeźby na murach, ramiennach i loggiach.

Takimi to migawkami zaznaczają się wspomnienia tego kraju.

Uczucia jakie dają się tam zauważyć, to przede wszystkim zadowolenie widoczne w wyrazie twarzy przechodniów i przejezdnych, tak łatwo przechodzące w kaskady radości rozbawionych tłumów w Tivoli.

Drugi odczuwalny tam nastrój to zaufanie, które rodzi się choćby na widok dziesiątek rowerów zwalonych niekiedy na kupę, leżących na ulicy bez opieki, pozostawionych przez ich właścicieli nie obawiających się kradzieży. Żaden też zapewne rozlagniony profesor nie mógłby stracić parasola, bo niechy-



Z odległych połonin włóścianie islandzcy zwożą do chat swoich siano



Ładowanie po powrocie z połowu ryb w jednym z miasteczek

bnie znaleźć go na miejscu zapomnienia.

Myśl zachęcona tymi zewnętrznymi chaotycznie na gorąco łwionymi obrazami życia duńskiego szukać poczęła po powrocie jego syntetycznego ujęcia w datach statystycznych.

Dane te choć lapidarne są jednak tak wymowne, iż trudno opędzić się chęci ich zaprodukowania.

Cóż mówią one o państwie 3 i ½ milionowym, które zdala od wirów międzynarodowej polityki żyje od lat w spokoju i wewnętrznym spokoju.

Nie można odnaleźć Danii, na liście posiadaczy kluczowych surowców, węgla, żelaza, ropy czy soli, ale zato zajmując się energicznie kulturą rolną, stoi na pierwszym miejscu w świecie — przed Węgra-



Dziewczęta w islandzkich strojach ludowych

mi i Polską w procentowym wyzyskaniu grunów ornych w stosunku do zajmowanej przestrzeni. Zajmuje równocześnie Dania czołowe miejsce wydajności przy uprawie zbóż, owsa, pszenicy, jęczmienia czy buraków cukrowych, mając w proporcji do powierzchni najwyższą w świecie ilość trzody.

A wymiana handlowa? jest ona niemniej imponująca.

Oto na jednego Duńczyka przypadający przeciętny obrót w handlu zagranicznym jego kraju jest o 25% przeszło wyższy od takiegoż obrotu Anglika, władającego przecieć tylu surowcami i okrętami.

Na 1000 mieszkańców Danii wypada 35 samochodów, gdy w takiej Czechosłowacji, w Państwie Skody i Tatry wypada ich zaledwie 8.

Jest tam dalej telefonów stosunkowo 3 razy więcej niż we Francji a także więcej w porównaniu ze Szwecją.

Każdy przeciętny Duńczyk wykazać się może książeczką oszczędnościową z wpisaną tam kwotą wyższą od tej, jaką uciulał przeciętny szkocki skąpiec.

A przy tym wiedzieć trzeba, że Duńczyk pożywia się niezgorzej, bo oto ma rekord światowy w spożyciu cukru, który jak wiadomo krzepi, i kawy.

I jakżeż potem się dziwić, że takie skomercjalizowane, zmechanizowane, zamożne Larseny i Rasmusseny ciągną z zadowoleniem z kufli sławne piwo kopenhaskie, a wypijają go sporo, bo więcej od przysłowiowych piwoszy niemieckich.

A kultura? w Danii niema ani jednego analfabety. Dzienny nakład prasy wynosi około 1½ miliona egzemplarzy. Oznacza to, iż Dania to kraj około miliona rodzin, z których każda czyta dziennie przeciętnie dwie gazety.

Zaraz na drugim miejscu w świecie po Stanach Zjednoczonych uplasowała się Dania ze swoimi 155 głośnikami radiowymi na 1000 mieszkańców, gdy Włochy ojczyzna Marcconiego mają ich tylko 10.

Oto parę rozważań, choć nie podróżnych, to jednak podróżą pobudzonych.

Zestawienia te zainteresować powinny nie dla samej tylko pochwały Danii ale i poto, by zapoznać się z tak sympatycznym i zamożnym krajem, bliskim sąsiadem na Bałtyku, związanym z Polską wcale mocnymi węzłami zagranicznego handlu.

Po odpłynięciu z Kopenhagi, z morza już widzi się rysujące się u wylotu duńskiej cieśniny Sundu, kształtne wieże zamku Kronborg, siedziby szekspirowskiego Hamle-

ta. Na scenach światowych w tym niezdejmowanym z repertuaru dramacie — powtarza książę duński niezmiennie przeszłe już do oklepanych frazesów zdanie — „coś się psuje w państwie duńskim“. Krótka znajomość z tym krajem obejmuje jednak aktualność temu powiedzeniu, odrywa od miejsc, gdzie paść miało po raz pierwszy.

Na myśl cisną się raczej słowa uznania dla kraju gospodarowanego przez potomków, zdobywczych i energicznych żeglarzy wikingów i zarazem rodaków Hansa Christiana Andersena, który wzruszył dzieci całego świata serdeczną prostotą swych baśni.

Mgr. Stanisław Weiss

Ilustracje nasze przedstawiają obrazki z pokrytej śniegiem wyspy duńskiej Islandii





Z D R A D A

Anna lubiła zmiany i rozkoszowała się podróżą. Podobaly się jej pola kukurydzowe, schludne domki, rozsiane przy linii, którą biegł pociąg oraz ciągle nasilająca się słoneczność. W Czerniowcach kupiła od uśmiechniętego chłopca torebkę pełną złotozielonych winogron i paczkę papierosów; gdy pociąg ruszył, zaczęła jeść winogrona i dziwnym uczuciem rozkoszy nappełniła ją świadomość, że są one takie słodkie i jakby przepelnione słońcem. „Więc to jest smak słońca” — pomyślała — i roześmiała się sama do siebie. „Nie dziwię się, że jedząc takie winogrona, ludzie południa są tacy pogodni” — zakonkludowała

i znów uśmiechnęła się do tak niedorzecznych myśli. Topiła wargi w rozkosznym miąższu i uczuła nagle świadomość obecności w pustym przedziale warg ukochanego mężczyzny. Bawiła się winogronami, jak pocałunkami, a świetny papieros rumuński rozmarzył ją do reszty.

Lecz za chwilę myśl jej porwana została przez tyle nowych i zajmujących rzeczy, przesuwałych się panoramą przed jej oczami. Jakką dym rozwiął się żal, że Andrzej nie mógł jej towarzyszyć i że musiała rozstać się z nim na całe cztery tygodnie.

Myśl o człowieku, którego kochała całą siłą uczucia i całym głodem nigdy niezaspokojonych zmysłów, nie powróciła nawet wtedy, gdy po dwóch tygodniach spędzonych jak we śnie w coraz to nowych zachwytach — poczuła się osamotnioną.

Anna kochała morze i po raz pierwszy znalazła się nad morzem południa — morzem, które łączyło w sobie czar rozgrzanych błękitów i wabiło jednocześnie tem, co było w nim z dzikości i nieokiełznania mórz północnych. A poza morzem, południowa roślinność, ludzie jacyś dziwni, weseli i pełni uroku, rozpamiętywania w ustronnych, przepojonych czarem i przedziwnymi zapachami i smakami restauracyjkach, ranki spędzane na pieszczotach z gorącym piaskiem i rozkosznymi zmaganiem z chłodną falą i tyle innych dziwów i zajmujących

chwil i odczuć. Ale powoli i coraz silniej dokuczać poczęło jej uczucie samotności, tym silniej i tym natężyciej, im więcej znajdowała upojnej rozkoszy w kontakcie z falami, piaskiem i zwiewnym poszumem palm. Oszaleję bez towarzysztwa — myślała.

Stało się. Od dawna już przystojny i miły młody człowiek obserwował Annę na plaży, w restauracji i w kawiarni, które były niejako rendez-vous całej Warny. Przypadek chciał, że Anna potknęła się na ulicy, że właśnie w tej chwili jakiś miły ramię podtrzymało ją, że uśmiechnęła się do jego właściciela, i że odpowiedział jej tak uroczym uśmiechem, na jaki tylko ludzie południa umieją się zdobyć. Potem szereg zapytań i odpowiedzi, któ-



rym towarzyszyły wykrzykniki i uśmiechy — i Anna pozostała sama na ulicy i szła dalej z pochyloną głową w zdziwieniu, że oto tak łatwo umówiła się: „jutro na plaży“.

Jak miło płynie czas, z jaką rozkoszą czerpie Anna z wszystkich darów południa, jak odważnie pruje ramionami falę, obok niej brązowi się silne ramię męskie, jak pełnymi treści są teraz godziny, spędzane w dolce-far-niente na rozgrzanym piasku, jak smakują tłuste kuropatwy, zajądane na tarasie wysuniętej w morze restauracji i jak świetnie tańczą nogi, które rano otrzymały najrozkoszniejszy z masaży — masaż zagniewanych fal morskich.

Ale nocami dziwi się Anna, że nie umie znaleźć odpowiednich słów, że wiecznie ciągle wydaje się jej jakby była tylko obcym widzem rozgrywających się przed nią rzeczy. Ale niema czasu zastanawiać się nad tymi uczuciami.

Ostatni wieczór Anny w Warnie. Spacerują ze Stefanem po szarych w mroku ulicach. „Anno, — pyta się nagle Stefan — czy mogę przyjechać po Ciebie do Warszawy i zabrać Cię na zawsze do siebie, gdy tylko ułożą się moje sprawy. Tak pięknie będzie, gdy zostaniesz moją żoną, Anno“.

Jakże okropnie bije serce Anny, w jakim popłochu strasznym chowa się w głąb zmartwiałego ciała. Anna dygocze. Cóż uczyniła? Teraz dopiero przychodzi do niej świadomość, że niechcący popchnęła czyn brzydki — lekkomyślnie zbudziła uczucie w człowieku, który może przez nią będzie cierpiał. Wydaje się Annie nagle, że Warna jest strasznym, koszmarnym wygnaniem, że morze jest cuchnącą kałużą, że

nie tu nie śpiewa, nie pachnie, nie kusi. Uciekać. I głosem, który drży od wstydu szeptała Anna, że Stefan ma zapomnieć, bo ona wcale o małżeństwie nie myślała, bo ona już ma męża, którego bardzo kocha, i że ona tylko... „pour passer le temps — vous comprenez“. Anna wie, że się oczernia, że to wszystko nie było tylko zwykłym „passe-temps“, że zrodziło się z wielkiej potrzeby, którą podstępnie rozbudziły w niej słone fale, szum wiatru, upał i cichy zapach nocy, które nie chciały, nie mogły być samotnymi i strach przed tym, że oto niema w czyje ramiona schronić się w razie niebezpieczeństwa tak daleko od swoich i od wszystkiego, do czego się przywykło. Anna wie to wszystko i rozgrzesza siebie; ale Stefanowi nie tłumaczy nic, bo i pocóż, i tak by prawdopodobnie nie nie zrozumiał.

Był słoneczny poranek, gdy Anna opuszczała Warnę. Stefan pożegnał się jeszcze wczera, krótko ale serdecznie — była mu za to wdzięczna.

Ukołysana pociągiem sięgnęła po słodkie winogrona i tak, jak miesiąc temu odczuła nagłą świadomość warg ukochanego mężczyzny i wichrem zerwała się w niej tęsknota. To tylko było jej przeznaczeniem i jej życiem. Tęsknota wydłużała czas do nieskończoności, Anna liczyła chwile, sekundy, lub zapadała w odrętwienie, które te chwile i sekundy zgarniało litościwie i precz odrzucało — ciężar, który opadał, ginał smugą za pędzącym pociągim. Anna nikomu nie była tak wdzięczna, jak w tej chwili temu stalowemu przyjacielowi, który tak wiernie niósł ją ku jej szczęściu.

Anna wyciąga się na tapczanie i wsłuchuje się w cichutkie, milu-

sienkie tykanie zegarka i w miarowy, delikatny loskot zciekających w sąsiadującej łazience kropel wody. I jeszcze szumi imbryk elektryczny i jeszcze za oknami podzwaniają tramwaje. Jak dobrze. I nagle w tę ciszę wpada pełen wesołego śmiechu głos Andrzeja: „Powiedz mi Anno, czy tam przypadkiem nie zdradzałaś mnie w Warnie?” Anna nieruchomieje na chwilę, wszystkie rozkoszne cykania i szmery przygłusza loskot krwi w skroniach i tchu brak w uciśniętych płucach. Tak jak tam w Warnie z zewnątrz przyszło nagle uświa-

domienie, że popełniła czyn hrzydki, tak teraz dopiero otwiera się przed myślami otchłań, w którą trzeba zajrzeć — zdrada.

Lecz krew się uspakaja, ho serce, sprawdzian największy, uśmierzyło rozpierzchnie myśli zrozumieniem.

I już radośnie — w uśmiechu z okrzykiem tak lekkim i promiennym:

„Andrzeju — cóż za głupstwa — nie, nie zdradziłam Cię w Warnie!”.

KORWIN

Ilustracje M. Szcześniewskiej





Irena Meyendorff, gwiazda Tobisu. Fot. Polski Tobis



UROK STARZYŹNY

Niewielu stosunkowo obywateli stolicy, tworzących poniekąd klub wtajemniczonych, wie o istnieniu w okolicy placu Muranowskiego targowiska starzyzny, zwanego Wołówką. Jest to spory, wybrukowany kocimi łbami, plac otoczony czworobokiem parterowych domów z nędznymi sklepami z używaną garderobą i dwiema bramami wejściowymi. Targowisko jest zamknięte w sobotę, bo jak wiadomo, Żydzi zmonopolizowali całkowicie w swych rękach wszelki handel starzyzną.

Można je podzielić na trzy części. Na pierwszej są stragany z nowym, lecz tandetnym obuwiem, bielizną i galanterią. Druga, najbardziej dla Wołówki charakterystyczna, jest poświęcona handlowi z ręki do ręki starym obuwiem i garderobą, a właściwie jej szczątkami znoszonymi z całego miasta przez handełców podwórzowych.

W trzeciej, najciekawszej dla amatorów starych gratów, można ku-

pić stare żelastwo i inne drobiazgi ze straganów, prowadzonych przez znających się na metalu handlarzy lub od śmieciarzy, którzy rozkładają wprost na gołym bruku najrozmaitsze przedmioty, znalezione w miejscach, gdzie zasypuje się śmieci, zwożone z całego miasta. Odbywa się ponadto ruchomy handel z koszyka, niesłychanie tanim pieczywem, klejącymi się od cukru wyrobami cukierniczymi, wysortowanymi, czy też zleżałymi słodyczami, a nawet gorącymi kiełbaskami.

W porównaniu z cenami rynkowymi wszystko jest tu bardzo tanie, bo towary podniszczone lub okazyjne. Nową, lecz tandetną odzież i galanterię nabywają najbiedniejsi mieszkańcy Warszawy, ale stare łachy i „przechodzowane” obuwie nabywają z reguły tylko fachowcy, krawcy i szewcy, zajmujący się odświeżaniem tej starzyzny lub przetwarzaniem jej. Stąd czerpią również surowy towar sklepy z okazyj-



na sprzedaż przez zawodowych handlarzy lub wprost przez śmieciarzy, znoszących je w workach z miasta, są tak różnorodne i tak niekiedy nieoczekiwane, że amator tych starych gratów grzebie się w nich godzinami w poszukiwaniu osobliwości w postaci dziwacznych kłódek, naczyń zagadkowego przeznaczenia, pięknych figurek z obłutczonymi noskami, tajemniczych strzykawek, nienapoczętych jeszcze słoików z kremami piękności, przemysłnych statków kuchennych, zdekompletowanych nakryć z magnetycznych stołów, jakichś pasów i gorse-

na garderobą na ulicy Świętokrzyskiej. Bardziej zużytą odzież sprzedaje się po wyreparowaniu i odświeżeniu na miejscu. Z łachów wełnianych wyrabia się czapki i ciepłe pantofle. Nie się tu nie zmarnuje, wszystko zostaje zużytkowane, do ostatniego guzika i niezdartego obcasa, dając egzystencję tysiącom rodzin żydowskich z tej okolicy miasta.

Amator starzyny, mogący sobie pozwolić na kupno obuwia i garnituru w sklepie w śródmieściu, przechodzi obojętnie przez dwie pierwsze części targowiska, lecz zatrzymuje się na długo tam, gdzie na wielkiej powierzchni bruku są rozłożone tak zwane „bakalie“, czyli najrozmaitsze drobne przedmioty, pochodzące ze zlikwidowanych podczas przeprowadzki łanów domowych. Drobiazgi wyłożone tu



tów, wysztych dawno z mody, oraz setek innych rupieci.

Prawie zawsze można tu znaleźć jakiś przedmiot potrzebny w gospodarstwie domowym, a w każdym razie drobiazg, zaspakajający żylkę kolekcjonerską cierpliwego poszukiwacza osobliwości. — Ceny są niskie, bo często sprzedawca nie orientuje się w wartości, a nawet i przeznaczeniu znalezionego gdzieś w śmieciach przedmiotu. Gorzej

jest, gdy dostanie się on do rąk zawodowego handlarza, posiadającego swój stały stragan: wtedy płaci się znacznie drożej, bo już cenę amatorską. Zdarzają się jednak i śmieciarze, którzy wolą zachować znaleziony przedmiot dla siebie, aniżeli go sprzedać za bezcen. Gdy jeden z bywalców Wołówki ofiarował 5 groszy za ozdobny flakonik po perfumach, sprzedawca zawołał z oburzeniem:



DBAJCIE O SWOJE ZDROWIE

Przy chorobach: ŻOŁĄDKA, KISZEK, WĄTROBY, przy KAMIENIACH ŻOŁCIOWYCH, WZDĘCIU BRZUCHA, ODBIJANIU SIĘ, lub SKŁONNOŚCIACH DO ZAPARCIA, stosuje się „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” Gąseckiego, naturalny łagodny środek przeczyszczający, ułatwiający funkcję organów trawienia, stosowane również przy nadmiernej otyłości.

Ja nie jestem żebrak! — Ja jestem śmieciarz — dodał z godnością.

Co prawda, to w tej części Wołówki 5 groszy stanowi jednostkę monetarną o takiej wartości nabywczej, jaką posiada 1 złoty w normalnym sklepie. Najczęściej cena

— Komu pan daje 5 groszy? — drobiazgu wyszukanego przez amatora starzyny wynosi 10 groszy, czy li tak zwaną „dychę“, która stała się poniekąd jednostką monetarną Wołówki i bardziej znanego Kercelaka. Targowisko na Kercelaku jest jednak bez porównania droższe, bo klientele jego stanowi stosunkowo nieźle zarabiająca ludność robotniczej Woli.

Wśród rozłożonych na sprzedaż rupieci można także znaleźć książki, czasopisma, pocztówki i rozmaite szpargaly. Na ogół biorąc są to tak zwane „greckie książki“, czyli prestarzale podręczniki, lecz cierpliwy bibliofil znajdzie tu również dawne wydania znanych powieści, a nawet stare druki, wyrzucone na

śmieć przez nieświadomych ich wartości właścicieli lub rozłagnione Jagusie przy sprzątanii.

Wszystek ten towar, gromadzony na Wołowiec przez nędzarzy, jest brudny i najczęściej uszkodzony, lecz posiada dla amatora lub zamiłowanego zbieracza urok antyku, z którym związane było przez wiele lat życie poprzedniego posiadacza, bez względu na to, czy jest to młynek do mielenia kawy, czy artystyczna figurka. Obok tego uroku ciągnie amatora starzyny na Wołówkę również taniość pożądanego przez niego przedmiotu i ewentualność znalezienia i nabycia za bezcen jakiegoś drobiazgu, który pragnie posiadać.

Wołówka warszawska jest więc miniaturą słynnego „targowiska pcheł“ w Paryżu, gdzie sprzedawcy starych rupieci wołają:

— Szperajcie, panie i panowie! Kto wie, czy w moich gratach nie kryje się wasze szczęście!...

ZYGMUNT KOCZOROWSKI

Ilustracje M. Ciąglińskiej





Profesor Ebert na wykładzie w szkole ankarskiej

PIERWSZA SZKOŁA SZTUKI TEATRALNEJ W TURCJI

Turecja w szybkim tempie europeizuje się i to we wszystkich dziedzinach życia. Jeszcze jednym jaskrawym przykładem tej modernizacji jest założenie przez ministerstwo oświaty pierwszej tureckiej szkoły dramatyczno - lirycznej.

Pożyteczna ta wyższa uczelnia w niedługim czasie zaspokoi jedno z wielkich kulturalnych potrzeb kraju.

Teatr w państwie byłego padysha traktowano po macoszemu. Nie znano dramatu ani też trage-

dii w pojęciu zachodnim. Nawet względem płasów deńwiszów perskich, podczas ramazanowych uroczystości (Ramazan — Wielki post muzułmański) Turcy zachowywali swą orientálną bierność.

Dzięki reformom wielkiego wodza Kemala Atatürka teatr turecki zaczął się rozwijać i udoskonalać na wzór europejski.

Narodowy teatr turecki nie miał żadnej historii, żadnej tradycji, żadnego szablonu i żadnych przedstawicieli sztuki scenicznej. W da-



Taniec plastyczny

wnym teatrze tureckim kobiety nie występowały. Role kobiece były kreowane przez mężczyzn, a z biegiem czasu przez kobiety ormiańskie — nigdy natomiast przez Turczynki.

Wszystko się zmieniło w nowej, odrodzonej Turcji. Narazie wycho-

wuje się narybek aktorski. Sztuki wystawiane w teatrach to przeważnie komedie, pisane przez autorów tureckich. Prezydent Kemal Atatürk zrozumiał, że Turcja tak samo jak i każdy kraj powinna posiadać swoisty charakter sztuki teatral-

nej, swoich dramaturgów, komedio-
pisarzy, swoich artystów, reżyserów
i dekoratorów.

Powołanie do życia pierwszej
szkoły dramatycznej napewno
przejdzie do historii, jako ważny
fakt. Dzieła dramatyczne, które bę-
dą grane przez słuchaczy tej szko-
ły, są wzięte z zachodu, lub też spe-
cjalnie napisane przez młodych
dramaturgów tureckich.

Studia w szkole trwają dla slu-
chaczy klasy operowej 5 lat — dla
przyszłych artystów dramatycznych
— 3 lata. Warunkiem przyjęcia do

szkoły jest posiadanie świadectwa
dojrzałości.

Szkoła liczy już sporą ilość slu-
chaczy i słuchaczek.

Kierownictwo szkoły znajduje
się w rękach p. Karla Eberta, byle-
go reżysera opery w Berlinie i jed-
nej we Frankfurcie. Ten niezwykle
reżyser i znawca sztuki teatralnej
ułożył dla tureckiej szkoły specjal-
ny program studiów.

Program studiów zawiera cykl
wykładów teoretycznych i ćwicze-
nia praktyczne.

Słuchacze klasy operowej stu-

Ćwiczenia gimnastyczne



diują jednocześnie (wykłady teoretyczne) ze słuchaczami klasy dramatycznej, jednak więcej czasu i uwagi poświęcają lekcjom śpiewu i fortepianu.

Wszystkich słuchaczy obowiązują ćwiczenia gimnastyczne.

Dyscyplina w szkole jest nadzwyczajna. Przyszli aktorzy tureccy doskonale zdają sobie sprawę z tego, że muszą pracować wytrwale — rozumieją oni doskonale swą misję kulturalną dla dobra swego kraju.

Urządzenia szkoły są komfortowe, instalacje sceniczne jak i również kostiumy skompletowano w zawrotnym wprost tempie.

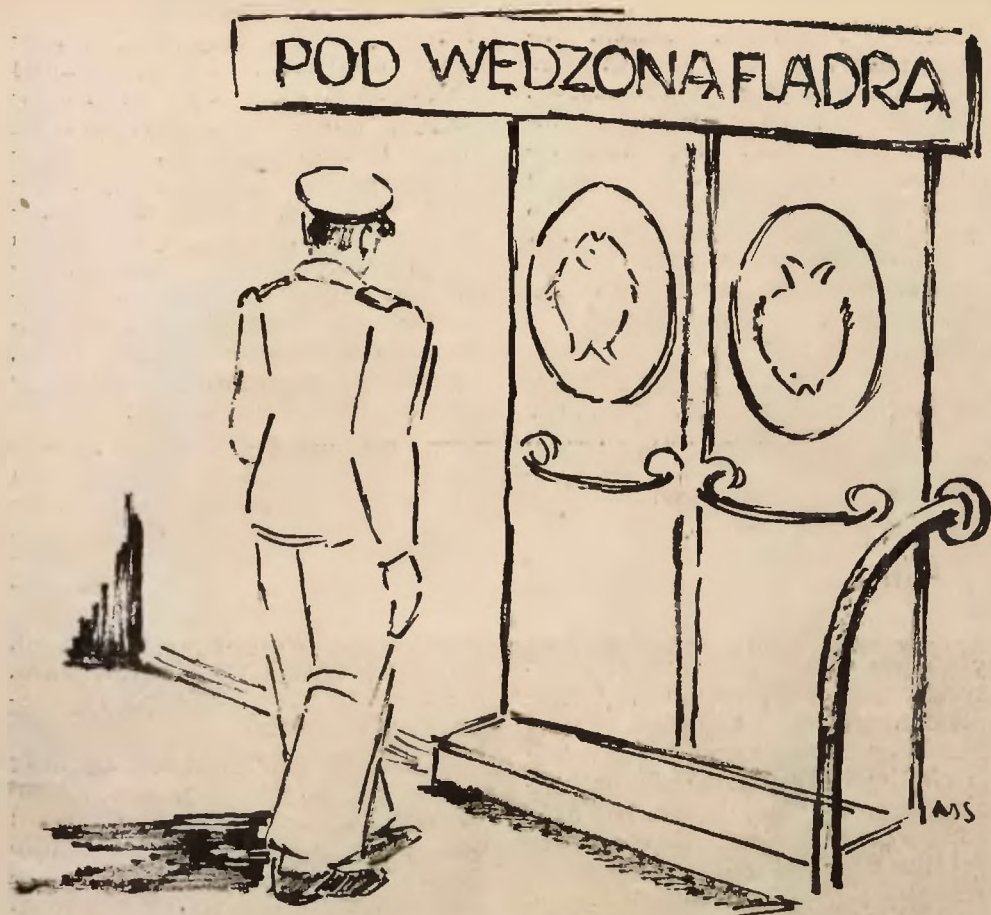
Nowy prezydent İsmet İnönü po zwiedzeniu nowej, tureckiej szkoły dramatycznej i lirycznej wyraził podziw zarówno dla profesorów jak i słuchaczy, zachęcając ich do dalszej pracy owocnej na tym polu, dla wzbogacenia i rozkwitu tureckiej sztuki teatralnej.

Za kilka lat ujrzymy pierwszych dyplomowanych aktorów tureckich. Napewno cieszyć się będą dużym powodzeniem w kraju, a może szukać będą sławy na deskach teatrów europejskich?...

DZENNET DZABAGI

Lekcja fonetyki





PRZY KUFLU PIWA

— Pah don, pan pozwoli, mon lieutenant?

Szare oczka o błędnym wyrazie, zgubione w krwistoczerwonej bryle twarzy, przysunęły się doprawdy zbyt blisko. Kwaśny odór fermentującego w organizmie spirytusu buchnął Jerzemu prosto w nos, więc odsunął się co prędzej ze źle ukrytą odrazą, która nie uszła uwadze natręta.

Podporucznik Ciuksza, młody absolwent Szkoły Podchorążych Ma-

rynarki Wojennej, wracał z Oksywia jak zawsze pieszo. Był gorliwym zwolennikiem kultury fizycznej i jeszcze w Szkole zapowiedział sobie i kolegom, że znalazłszy się na odpowiedzialnym stanowisku oficera Floty nie zerwie z dotychczasowymi swoimi obyczajami, które dawały mu rzeźkość i cenne poczucie własnej sprawności i siły. Do obyczajów tych — o których podporucznik mawiał, że weszły mu w krew — należała poza poranną

gimnastyką, również dłuższa, kilkukilometrowa przechadzka bez względu na pogodę i okoliczności. Właśnie, jak z Oksywia na Kamienną Górę... Inni oficerowie, którzy mieszkali w mieście, narzekali na oddalenie od portu wojennego, na stratę czasu, ale podporucznik Ciuksza zadowolony był, że ma przynajmniej do przechadzki sposobność, której inaczej musiałby umyślnie szukać.

Dzisiaj jednak daremnie usiłował wykrzesać z siebie tę radość życia, którą zwykle dawał mu ruch na świeżym powietrzu morskim. Ćwiczenia, z których wracał, były więcej niż kiedykolwiek uciążliwe, noc zaś, spędzona w zanurzeniu, pozostawiła mu trwałe ucisk w płucach i gniotący ciężar na mózgu. Toteż wysiadłszy z holownika, który go przewiózł przez kanał Przemysłowy, poczuł ogromną chęć wzmocnienia się czymś zimnym, lecz rozgrzewającym. Wprawdzie na chętkę tę obruszyło się natychmiast jego sumienie sportowca, ale tym razem postanowił w drodze wyjątku ulec pokusie.

— Nie trzeba przesadzać — perswadował zaniepokojonemu sumieniu. — Oficerowie brytyjscy, z którymi zetknąłem się podczas postoju „Iskry“ w Portsmouth, byli sportowcami w każdym calu, co jednak nie przeszkadzało im wychylić, kiedy mrok zapadł — jedną i drugą szklankę whisky and soda, ba nawet podchmielić sobie niegorzej. A przecież nikt chyba nie zaprzeczy, że od Anglików można się wiele nauczyć.

Uśmiechnął się do wspomnień ze swojej ostatniej podróży szkolnym szkunerem. Wesole musiały to być myśli, bowiem już bez cienia wyrzutu i z wyrazem milej pogody na twarzy świeżej i różowej pomimo zmęczenia, pełną ciężkie drzwi baru „Pod wędzoną fladram“.

Poczuł swoistą woń rozgrzanej

frytury, ostrych przypraw, marynowanych śledzi i z nieco przesadną pewnością siebie, już z daleka zdradzającą nowicjusza, skierował się ku wielkiemu bufetowi, przy którym celebrowała wielce otyła dama o immopującym biuście i modnej w dziewięćdziesiątych latach ubiegłego stulecia, czarnej jak antracyt fryzurze „w kok“, wznoszącej się niby fantazyjny dach pagody chińskiej nad obwisłą twarzą, wybieloną i wyróżzowaną pod kolor zawstydzonej dziewczęści.

— Pan porucznik rozkaże?

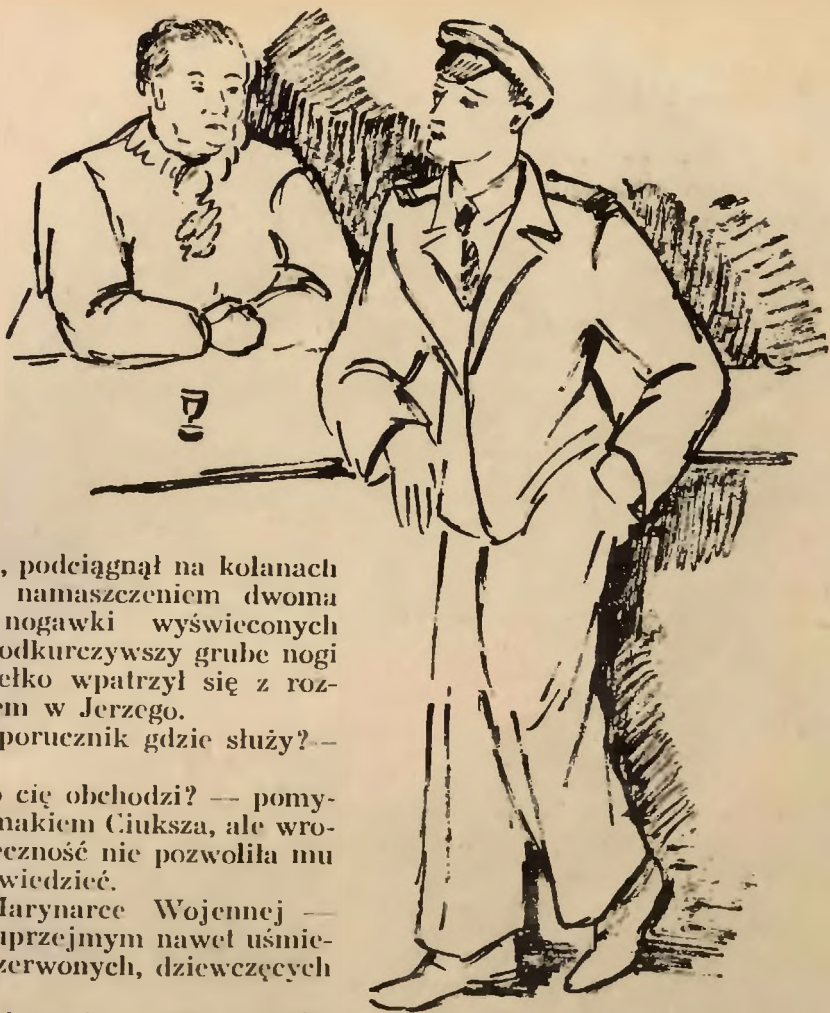
Czarny kok zsunął się nieco na tył głowy, namalowane nie bez talentu, bezwłose brwi uniosły się, plisując czoło mnóstwem zmarszczek. Jaskrawe, namiętne czerwone wargi rozchyliły się, ukazując komplet nowiutkiego uzębienia. Dama była już stara, bardzo stara, ale niestety nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

Porucznik patrzył ze zgrozą na tę pantomimę. Wypił prędko dwa koniaki i zażądawszy jeszcze piwa odszedł od bufetu z kuflem w dłoni i z ulgą w sereu. Usiadł przy stoliku tyłem do szynkwasu, zdjął czapkę, gniotącą mu czoło i zajął się przyjemnym obrządkiem nabijania fajki wonnym, grubo krajany „c a p s t a n e m“ — (podporucznik Ciuksza palił wyłącznie fajkę) — kiedy ten natrętny głos rozwił mu błogi stan odprężenia, jaki po rzetelnym zmęczeniu dają dwa kieliszki dobrze rafinowanego, odstalego alkoholu, wypite na czczy żołądek.

— P a h d o n, czy pan pozwoli, m o n l i e u t e n a n t?

— Proszę! — odrzekł Jerzy grzecznie, pomimo że najchętniej posłałby natręta do wszystkich diabłów.

Okragły mężczyzna lat około pięćdziesięciu postawił z przesadną ostrożnością pełny kufel piwa na marmurowej płycie stolika Ciuk-



szy, usiadł, podciągnął na kolanach powoli, z namaszczeniem dwoma palcami nogawki wyświeconych spodni i podkurczywszy grube nogi pod krzesło wpatrzył się z rozrzwinięciem w Jerzego.

— Pan porucznik gdzie służy? — spytał.

— Co to cię obchodzi? — pomyślał z niesmakiem Ciuksza, ale wrodzona grzeczność nie pozwoliła mu tego wypowiedzieć.

— W Marynarce Wojennej — odrzekł z uprzejmym nawet uśmiechem na czerwonych, dziewczęcych wargach.

Niespodziewanie grubas zaniósł się śmiechem, śmiechem nastawionym na wysokie „C” i zupełnie nie licującym z jego tuszą.

— Cha, cha, cha!... W marynarce!... Cho, cho, cho!... Wojennej!... Chi, chi, chi!... — rżał jak ogier na pastwisku. — Doskonały kawał!... Un parfait morceau, jak mówią niektórzy z was, panowie Polacy!

Jerzy spojrział na wesółka w sposób, który jemu samemu wydał się miażdżący.

— Pan się zapomina! — wycedził chłodno, przez zęby, czego również nauczył się od swoich brytyjskich kolegów w Portsmouth.

Grubas spowaźniał równie nagle, jak poprzednio się roześmiał.

— Mais non, mais non! — zaprzeczył gorliwie, przyjacielsko. — Niech pan się nie gniewa na stałego duhnia, mon lieutenant! — w chwilach szczególnego poruszenia „grasejował” wybitnie. — Ale pan powiedział, że jest z marynarki wojennej!... Przecież to każde dziecko widzi, sacré nom de nom!

Jerzy poczuł, że wzbiera w nim irytacja.

— Skądże mogłem wiedzieć, że pan umie odróżniać mundur ofice-



ra marynarki wojennej od handlowej! — rzucił niecierpliwie i sięgnawszy po kufel umoczył wargi w białej pianie.

— *Allez donc!* — zawołał znowu Francuz wywracając oczy w zdumieniu. — Czy umiem odhóżniać?...Ależ ja sam jestem... *pahdon...* byłem marynarzem!... Na „sumahinie“, *mon lieutenant!* Przed wojną i podczas wojny.

Pochylił się nad swym piwem i zaprezentował Jerzemu różową łysinę, obficie pokrytą drobnymi kropelkami potu. Było o jeden ton jaśniejsza od twarzy, błyszcząca i gładka jak ciało zdrowego niemowlęcia w kąpielu.

Ja również służę na okręcie podwodnym — odezwał się nieopatrznie Ciuksza, czując, że rozdrażnienie już mu przechodzi.

Nad kuflem, na miejscu łysiny, natychmiast ukazała się uszczęśliwiona twarz grubasa.

Tonnerre de bon Dieu! zawołał z uniesieniem. — A więc przecucie mnie nie myliło!... Jesteśmy kolegami!

— W jakież to osobliwy sposób można zdobyć kolegów — pomyślał Jerzy nie bez melancholii. — Więc pan spędził wojnę na okręcie podwodnym? — zapytał.

Pas du tout — zaprzeczył



grubas i rad z efektu zmrużył filuternie oko.

— Przecież pan sam powiedział.

— Si, mon lieutenant, mówiłem i powiedziałem prawdę. Służyłem na okręcie podwodnym, ale już w roku 1915 dostałem się do niewoli... w Dahdanelach — dodał po chwili tajemniczo, a widząc, że porucznik zaczyna zdradzać zainteresowanie, uśmiechnął się z pewną wyższością. Pan zapewne wie mon lieutenant, bo tego chyba uczą dzisiaj w szkołach morskich jak bardzo Francji i Anglii zależało na sforsowaniu Dardaneli?

— Ba — mruknął Jerzy. Przecież to klucz do Morza Czarnego, do Konstantynopola i całego Bliskiego Wschodu!

— Vous avez raison! — podjął tamten. Toteż nie raz i nie dwa próbowali Koaliantci przejść „sumarinami“ przez tę diabelską cieśninę..

— Podobno fortyfikowali ją nie Turcy, lecz Niemcy?

— Tak jest, mon lieutenant!... A ja służyłem na jednym z tych okrętów podwodnych!... Ollllala!... To były czasy!... Chociaż warunki pływania były bardzo ciężkie, ale człowiek czuł, że żyje!... Mon Dieu, może dlatego tak ceniło się życie, że nigdy nie było go się pewnym, a może dlatego, że miałem wtedy tyle lat, ile pan dzisiaj, mon lieutenant, inne aspiracje niż teraz...

Grubas westchnął i zamyślił się smętnie, ale Ciuksza nie wzruszył się jego żalami nad minioną młodością.

— W jaki sposób „zafasowano“ was do niewoli? — zapytał. Czy udało wam się zatopić przed tym swój okręt?

Grubas bezradnym gestem rozłożył dłonie.

— Hélas, mon lieutenant, nie udało się!...

I głaszcząc palcami jednej ręki gruby, podwójny podbródek, drugą zaś — gestykulując plastycznie, ciągnął dalej:

— Było to w miesiącu octobre. Wyszliśmy na morze o brzasku, płynąc na powierzchni. Zanurzyliśmy się dopiero przed zagrodami minowymi, aby je wyminąć od dołu. W tej diabelskiej cieśninie jest bardzo wiele miejsc płytkich, dlatego żegluga jest tam trudna, zwłaszcza dla okrętu podwodnego, sacrébleu;... Nasz komendant był chłop dzielny, un homme de cœur, vous savez!... Gładki na głębie, wąsik miał czarny, przycięty i głos cichy, łagodny. Ale w służbie, na okręcie ład i posłuch musiał być, bo inaczej jak spojrzał tymi swoimi czarnymi, błyszczącymi oczami na człowieka, to nom de chien — aż mróz chwycił.

— Mniejsza z tym; — przerwał Jerzy. Ale jakim sposobem was wzięto, panie... przepraszam, ale nie wiem, jak nazwisko?

Grubas zerwał się raźnie od stołka i wyciągnął do porucznika łapę pulchną jak poduszka.

— Romarin!... Gérard Romarin! jestem naprawdę heureux z poznania pana, mon lieutenant. Pan także jest un homme de cœur, dosyć mi było na pana spojrzeć, mon sieur...

— Ciuksza! — obejmując z trudem podaną sobie dłoń przeciał Jerzy krótko wylewne komplementy Francuza, który na dźwięk tego nazwiska, brzmiącego ostro jak chłasknięcie batem, spojrzał ze zdziwieniem i zamilkł, najwidoczniej utraciłszy wątek swojego opowiadania.

Grubas pociągnął tęgi łyk piwa i przetarł spoconą łysinę wielką chustką, czerwona jak chorągiew rewolucjonisty.

— Co to ja mówiłem, na czym

to ja się zartzymałem? — spytał niepewnie.

— Przeszłście pod zagrodą minową — poddał porucznik.

— C'est ça! Minęliśmy ją pomyślnie, tylko ze zgrzytem obtarliśmy się o łańcuch kotwiczny jednej z min. Komendant chciał się rozejrzeć w sytuacji, więc kazał z lekka szasować zbiorniki. Wynurzyliśmy się powoli, ale zaledwie nasz peryskop wyjrzał z morza, kiedy dostaliśmy un coup de canon. To strzelanie z lądu, od którego zaraz ruszyły ku nam 2 kontrtorpedowce. Trzeba było uciekać, nom de nom!.. Zanurzyliśmy się i tak już zeszedł nam cały dzień i noc.

— Czemuż do licha? — podporucznik, rozgrzany koniakiem i opowiadaniem Francuza, uderzył pięścią w stolik. Z cichym dzwonieniem podskoczyły kufle, a Ciuksza, zawtydziwszy się nieco, ciągnął już spokojniej.

— Dlaczego nie wystrzeliliście torped?... Trzeba było korzystać z okazji!

Mr. Romarin wydał i tak grube wargi.

— Pan jest jeszcze bardzo młody — rzekł poważnie. Proszę nie ginąć się na mnie, mon lieutenant, ale tak może mówić tylko młody i niedoświadczony marynarz. Okręt podwodny nie jest dla kontrtorpedowców żadnym przeciwnikiem. Ta „okazja“, jak to pan nazwał, mogła skończyć się tylko naszą zgubą. Voilà!...

Jerzy popił piwa i nie obraził się. Miał dużo zdrowego rozsądku i rozumiał, że doświadczenie znaczy często tyleż, co teoria, toteż oponować nie zamierzał. Pytanie jego było raczej wynikiem ciekawości niż refleksji, wiedział bowiem, że okręt podwodny, jako instrument bardzo precyzyjny i wrażliwy na uszkodzenia, powinien, jak diabeł święconej wody, unikać spotkania

z szybkimi, łatwo zwrotnymi i silnie uzbrojonymi kontrtorpedowcami.

— Zatem spędziliście całą noc na dnie? — zapytał tylko, ukryw-
szy wyraz twarzy za kłębam dymu
z fajki.

— Niezupełnie, *mon bon lie-
utenant*, bo nad ranem prąd
nas zniósł i rzucił na skalisty brzeg
Azji. Na szczęście obeszło się bez
awarii. Wyszliśmy ostrożnie na po-
wierzchnię, ale komendant natych-
miast dał znowu rozkaz do zanur-
zenia. Te przekłete kontrtorpedow-
ce już nas dojrzały i długi czas sły-
szeliśmy nad sobą szum ich śrub.
Kiedy ponownie wynurzyliśmy się,
może było wzburzone, gros, jak
powiadamy my, Francuzi. Powie-
trze w okręcie było już bardzo ze-
psute, ale świeżego nie podobna
było wpuścić, bo, *cré de nom*,
fale wciąż nam zalewały wyłoty
wentylatorów. Na domiar złego

zgasło nam nagle światło a w prze-
dziale centralnym wybuchł pożar.

— Czyżby krótkie spicie? — za-
interesował się porucznik.

— *Oui, mon lieutenant* —
potwierdził grubas.

Ożyło w nim wspomnienie prze-
żytych przed dwudziestu kilku laty
chwil grozy. Oczka, maślane od al-
koholu, nabrały blasku, a tłuste
palce drżały z emocji.

— Od kropel wody, które zbiera-
ły się na ścianach, *mon lieute-
nant*. Ogień udało nam się uga-
sić, ale trzeba było koniecznie wyjść
na powierzchnię, aby pozbyć się dy-
mu, bo dusiliśmy się. Nagle poczu-
liśmy wstrząśnięcie i poprzewraca-
liśmy się. *Tonnerre de Bon
Dieu!*... Nasz okręt siadł na mie-
liźnie. Kiosk i dziób wystawały z
wody, toteż z pobliskiego fortu za-
częto walić do nas z dział. Już je-
den z pierwszych granatów uszko-
dził maszyny... *Sacrébleu!* Zejść



na głęboką wodę nie podobna było. Komendant więc otwiera wąż i wychodzi na pomost. Ja za nim! A on... chustkę z kieszeni wyciąga i sam biały na twarzy jak ta chustka, zaczyna nią powiewać.

— Nie uratuję już naszego okrętu, *mon vieux*! — powiada do mnie. — Z fortu nie od razu zaprzestano ognia. Straciliśmy w zabitych dziewięciu ludzi a mnie ręka zwisała, skrawiona odłamkiem granatu, nim wreszcie odbiła od brzegu duża łódź wiosłowa. Morze było, jak powiedziałem, złe, więc chwilami zupełnie ginęła nam z oczu, ale przecież dotarła do nas. Dopiero wtedy przestano nas ostrzeliwać. Nasz komendant przez cały ten czas stał na pomoście i tylko mu lewa brew drgała, co było znakiem, że niedobrze byłoby wejść mu wtedy w drogę. *Par bleu!*.. Oficer turecki w baraniej czapie długo się trudził, zanim morze pozwoliło mu

wgramolić się na nasz pomost. Ale zasalutował grzecznie.

— *Messieurs!* — powiedział po francusku. — Spełniście do końca swój obowiązek, teraz bądźcie naszymi gośćmi!

— Tak więc dostałem się do niewoli, do tureckiej niewoli, *sacré nom de nom de nom!* — zakończył swoje opowiadanie impulsywny mr. Romarin. I dwie grube łyzy stoczyły mu się niespodziewanie na zalaną piwem płytę stołika.

— Otuchy, kolego! — odezwał się przyjacielsko podporucznik Ciuksza.

Ujął grubasa pod ramię i już uśmiechającego się przez łyzy, poprowadził ku bufetowi.

— Dwa „głębsze“ wyborowej z kropką! — rzucił utynkowanej damie.

M. ZYDLER

Ilustracje M. Szcześniewskiej





Koronka z okolic Halas

SEN I GŁY

Koronka brukselska, w ogóle belgijska lub też wenecka znana jest powszechnie i ceniona, jako coś nadzwyczajnego, wprost cudownego. Sama jej nazwa wystarczy, aby przesunąć czas o całe stulecia, kiedy to w świecie pań królowała ona wszechwładnie.

Mniej znane są koronki węgierskie, którymi Węgierki dawno już przybierają swoją garderobę. Miały one tak duże zastosowanie i wyrabiano ich takie mnóstwo, że w jednym z miasteczek magistrat zabronił dalszego szycia koronek, uważając, że praca ta jest niemoralna. Kobiety powinny znaleźć sobie poważniejsze, lepsze i mądrzejsze zajęcie — twierdzono. Było to w roku 1560, kiedy nie znano jeszcze wspaniałej węgierskiej koronki,

tej właśnie, o której na Węgrzech mówi się zwykle, że jest snem igły.

Koronka ta od 35 lat wyrabiana jest w małym miasteczku węgierskim — Kiskunhalas, lub w skrócie Halas, niedaleko miejscowości, w której urodził się największy poeta węgierski — Petöfi. Jest ona wynalazkiem nauczyciela rysunków w tamtejszym gimnazjum p. Arpada Dekani. Wykazał on wielkie zamiłowanie do sztuki narodowej i pragnął stworzyć coś, czego jeszcze nie było — koronkę o charakterystycznych węgierskich motywach i technice. Do urzeczywistnienia tego na kłaniał go wielki węgierski ziemianin — Józef Zseny (Zeny), który pragnął, aby na terenie jego miejscowości urodzenia powstała koronka tak zwana hunnowa. Znał bowiem do-



Koronka z okolicy Halas

brze historię o tym, że na tej właśnie ziemi poseł cesarza Theodosiusa II — Priskos Rhetor przybył na dwór Atylli w momencie, kiedy królowa hunnów szła koronką.

Jednak do wykonania jej nie doszedł; dopiero p. Maria Markovits — nauczycielka haftu, wynalazła specjalną technikę szycia koronki, odpowiadającą myśli Dekani'ego.

Sama technika polega na szyciu koronki. Narysowany kontur, o węgierskich motywach, naszywa się na papier. Należy przy tym pamiętać, by cały motyw zrobiony był z jednego kawałka i żeby nigdzie nie szyc dwukrotnie. Następnie kontur wypełnia się, to znaczy — wyszywa bardzo cienką nitką, używając do tego równie cienkiej igły. Po wypełnieniu całego wzoru, papier odłącza się i zostaje cieniutka, delikatna koronka. Całe bogactwo koronki polega właśnie na sposobie jej szycia i na różnorodności wzorów.

Koronka z Kiskunhalas przechodzi różne okresy. Początkowo Dekani rysował wzory, p. Markovits wy-

szyciała i uczyła dziewczęta tej sztuki. Po wyjeździe Dekani'ego do Budapesztu, a później przejściu na emeryturę, inni układają motywy, rysują wzory. Jeszcze w pierwszym okresie Zseny, a później burmistrz miasta Halas — D. Thuroczy, tak potrafił zorganizować propagandę koronki z Kiskunhalas, że zainteresowała się nią arystokracja węgierska i znano ją nawet w Ameryce.

Osiem lat temu przemysł koronkarski zubożał bardzo. Ta wspaniała sztuka przemysłowa została tak zaniedbana, że nawet obecny burmistrz nie stracił się podnieść jej do dawnej świetności.

Nowy okres koronki z Kiskunhalas zaczyna się z chwilą, kiedy liczne artykuły, świeże motywy, nowe zainteresowania zbudziły magistrat miasta do ratowania prawdziwej perły węgierskiej sztuki ludowej.

Pionierską pracą była książeczka autora tego artykułu, z której fragmenty zostały tłumaczone na obce języki. Znajdziemy w niej historię

Koronka z okolic Halas



szytej koronki, koronki z Kiskunhalas, opis techniki wykonania, przeszłość i przyszłość. Od tego czasu koronka ma swoją ojczyznę w Kiskunhalas. Pociągi popularne przywożą liczne rzesze Węgrów i cudzoziemców, którzy podziwiają te cuda pracy rąk kobiecych, zdobywających zwolna popularność na całym świecie. Mussolini, królowa Holandii, Anglii i inne ważne osobistości, otrzymały w darze od rządu węgierskiego wielkie i wspaniałe koronki z Kiskunhalas. Polski motorowiec „Batory“ został przez rząd węgierski obdarowany tą koronką, aby na swej drodze z Euro-

py do Ameryki była wyrazem gorących sympatii Węgier do Polski.

Panie węgierskie używają kołnierzyków, ciążeczek zdobionych koronką z Kiskunhalas. Robi się koronkowe herby szlacheckie i darowuje najbardziej zasłużonym. Byłoby to bardzo miłe, gdyby kobiety polskie zainteresowały się węgierską koronką i to nie tylko tą z Kiskunhalas. Piękna byłaby taka zamiana: oto Polki w dowód zainteresowania stroją się w koronki węgierskie, a Węgierki na odmiannę, w równnie mało znane śliczne koronki polskie.

TIBOR CSORBA

*Herb rodziny Tormay wykonano wg. projektu Tibora
Csorby, techniką koronkową z Halas*





Tajemnicza śmierć donny Luz Esteban

Przez dziewięć lat z rzędu Luis López, ex-croupier, był szczęśliwy, szczęśliwy w pełni, uwięziony wśród blasków łagodnych zielonkawych oczu, złocistych promieni włosów i białych ramion donny Luz Esteban, którymi ta potrafiła zawładnąć jego duszą. Piękna, bogata i wybrana kobieta ta była obdarzona tą słodką i znieśławiającą siłą, siłą oporu, z jaką głębokie wiry osłabiają i powstrzymują burzliwy bieg rzeki; w ten sposób don Luis, podróżnik, podobny do zmęczonej fali, zatrzymał się w niej. Później jednak, obok miłości umocnionej i jakby zalegalizowanej przez czas. Nuda ukazała swe znudzone oblicze: w ciągu ostatnich dwóch lat to rozczarowa-

nie zmieniło się w antypatię aż wreszcie stało się trudną do zniesienia nienawiścią. Pomimo tego, jednak miłość nie odchodziła. Dla Luis López'a, pielgrzyma, który zatrzymywał się na wielu sentymentalnych postojach, Luz Esteban była symbolem przeszłości, była wcieleniem melancholii niewypowiedzianej zgasłych dni, wspomnieniem, ruiną kochaną i czczoną. Nicstety, jednak, jego epikurejska dusza nie zadawała sobie tylko kontemplacją — potrzebowała gorącego Dziś. Nie wyrzekając się pieszczot Luz łaknął jeszcze pieszczot innych kobiet. Podziwiał ją, lecz czuł, że się staje niewygodną, zanadto absorbującą. Luis López

był podobny do tych turystów, którzy zachwycają się do ekstazy wspaniałościami Alhambry biegną zaraz potem do sal music-hall'ów w poszukiwaniu umalowanych rozrywek.

Poszaty Luz w przystępie macierzyńskiej troskliwości, pełna prze-widywania, sporządziła na jego imię testament, czyniąc go w ten sposób jedynym swym spadkobiercą; również kontrakt na dom gdzie mieszkali, a także i kontrakty na różne przedsiębiorstwa jakie prowadzili opiewały na jego imię. Luz Esteban, więc, w rezultacie, była jakby anulowana i... przeszkadzała.

Wówczas w ciemnym umyśle niewdzięcznika pojawiła się myśl o zbrodni. Zbrodnia — to było bogactwo, wolność, niczem niepowstrzymana orgia. Należało zatem ominąć przeszkodę, ale ostrożnie, aby nie wzbudzić podejrzeń. Ostrożny złoczyńca rozporządza nieskończoną ilością wybiegów, aby uniknąć ręki sprawiedliwości. I bezkarności nie znajduje się w dalekich podróżach, gdyż granice bywają pilnie strzeżone, ani w żadnym niezwykłym sposobie ukrywania się, lecz jedynie w szczegóły wyraźnie pospolite, trywialne, które jednak, pomimo ich małostkowości wystarczają w zupełności do zmylenia śladu.

Przekonany o tym, Luis López zaczął przemyślać o szczególe, lub okoliczności, która, gdy przyjdzie czas na wykonanie jego planu, uchroni go przed niebezpiecznymi podejrzeniami. Poszukiwania były ciężkie, mozolne, i zamieniły się w jakąś ideę prześladowczą. Bardzo często, siedząc naprzeciwko swej prawdopodobnej przyszłej ofiary, don Luis milkł, nieruchomiał, zapominał o paleniu, z oczami szeroko otwartymi o spojrzeniu nieobecnym.

Zdziwiona tym Luz zapytywała swego kochanka:

O czym tak myślisz?

Nędznik zaczynał mrugać powiekami, uśmiechał się, zdawało się, że się budzi. A potem z okrutną słodyczą:

— O tobie myślałem... o tobie.

Było to prawdą: nieustannie myślał o niej i podobnie do szachisty, który studiuje ostateczną kombinację, zastanawiał się nad chytrym wybiegiem, który we właściwym czasie udowodni przed sądem jego niewinność.

Wreszcie znalazł ją. Właściwie mówiąc znalazł ich pięć, pięć okoliczności osłaniających go, którymi przykrył się z wielkim artyzmem.

Była połowa listopada.

Pewnego popołudnia, po obiedzie, Luis López zapytał się Luz Esteban:

— Jakżeż się czuje matka Benity?

Zapytana uczyniła minę, że nie wie.



— Nie wiem, zdaje się, jest bardzo chora.

Benita była ich służącą.

— Powinnaś pozwolić jej pójść zaraz przed wieczorem odwiedzić ją.

— Jak chcesz, ale ty sam jej powiedz, to nie bardzo się spóźni z powrotem.

On zaś odparł z galanterią:



— Nie, to przecież pani domu powinna dawać pozwolenie „na wychodne“. A w tym domu ty jesteś najwyższą władzą.

Luz Esteban uśmiechnęła się, mile polechtana pochlebstwem.

— Jak ci się podoba.

On wciąż nalegał słodki i przebiegły:

— W ten sposób tobie będzie winna wdzięczność.

Po kilku chwilach przyszły zabójca, który już przystąpił do wykonywania swego planu, wyszedł ze stołowego pokoju spokojnym krokiem.

Luz natychmiast przywołała służącą.

— Masz wiadomości od twojej matki?

Dziewczynie twarz wyciągnęła się, jak do płaczu i oczy zwilgotniały.

— Nie, proszę pani. Fartuchem



otarła łzy i dodała drżącym głosem:

— Najgorzej, że dostała zapalenia płuc. Niech pani sobie wyobrazi! A do pilnowania jej jest tylko moja siostra, małeńka jeszcze dziewczynka.

Luz Esteban spojrzała na zegarek: dochodziła czwarta.

— Posprzątałaś już po obiedzie?

— Jeszcze nie zaczęłam.

— Więc posprzątaj, ubierz się i idź odwiedzić matkę.

— Och, proszę pani! Niech Pan Bóg pani wynagrodzi!

Minęła godzina — już światło na balkonie zaczęło blednąć. Benita ukazała się na progu salonu, gdzie państwo odpoczywali po obiedzie.

— Czy państwo jeszcze coś każą?

Luis Lòpez udał zdziwienie:

— Dokąd Benita idzie?

— Pozwoliłam jej — odparła Luz — odwiedzić jej matkę.

— Ach, dobrze.



Benita pożegnała się i po kilku chwilach drzwi wyjściowe zatrzasnęły się za nią z echem, który wydał się bardzo dziwnym Luis'owi. Luz poczuła również ogarniający ją strach.

— Pójdę założyć łańcuszek na drzwi — powiedziała.

Zrobiła ruch, aby się podnieść, lecz kochanek uprzedził ją i pochyłając się nad nią, tak jakby chciał ją pocałować — zatopił w jej szyi „navaję“, którą już uprzednio trzymał w pogotowiu otwartą. Cios zadał lewą ręką, aby potem na sprawie mówiono, że zabójca był małnkutem. Pomimo to cios był tak pewny i głęboki, że ofiara zmarła natychmiast, nie wydawszy ani jednej skargi. Uczyniwszy to, umył się starannie w kuchni pod zlewem, przebrał się i o szóstej, o godzinie, gdy zawsze zwykł był wychodzić, wyszedł na ulicę. W hałlu pozdrowił oddźwierną.

Po skręceniu za róg ulicy, morderca, któremu się spieszyło, aby jak najprędzej wykonać swój plan do końca, wsiadł w auto.

Po upływie dwudziestu minut, seño-
ra Julia i dwie sąsiadki, które wracając ze sklepiu zatrzymały się, aby z nią zamienić kilka słów ujrzały w hallu, nawpół pogrążonym w cieniu zapadającego wieczoru, jakiegoś człowieka, ubranego w popielaty nieprzemakalny płaszcz. Człowiek ten przeszedł przez hall pośpiesznym krokiem, bąknął jakieś „dobry wieczór“, przechodząc

obok drzwi oddźwiernej, i zaczął wchodzić po schodach, biorąc od razu po dwa stopnie.

— Widziałyście go? — zauważyła seño-
ra Julia, — odprowadzając go wzrokiem. — Nie ma jednej ręki.

Zapytane spojrzwały za wschodzącym na schody i stwierdziły, że istotnie prawy rękaw jego szerokiego płaszcza zwisał luźno. Szybkie ruchy nieznajomego poruszały nim gwałtownie i w ciemnym już świetle zmroku postać ta wyglądała zarazem groteskowo i smutnie, niby straszdyło na ptaki. Jedna z kobiet zapytała:

— Cóż to za jeden?

— Nie wiem, nigdy go nie widziałam — odparła seño-
ra Julia. — Któż to może spamiętać wszystkich, którzy tu wchodzi i wychodzi?

W kilka chwil potem seño-
ra Julia spostrzegła z głębi swego pokoi-
ku „człowieka w popielatym płaszczu“, schodzącego ze schodów z jeszcze większą szybkością, niż wszedł. Zdawało się, że się ześlizguje po nich. Z trudem zwalczając reumatyczne bóle i dźwigając swą potężną tuszę seño-
ra Julia wstała, usiłując go zatrzymać:

— Proszę pana!

Lecz nieznajomy, który susem zeskoczył z sześciu pozostałych stopni, rzucił się na ulicę. Przez chwilę pusty rękaw powiał za nim w powietrzu, niby na znak pożegnania i człowiek zniknął.

— To małnkut! — zawołała prawosowaczka.

Tak, nie ma prawej ręki — poprawiła masażystka. Biedny!

Seño-
ra Julia skrzywiła się:

— Nie wiem kim jest — powiedziała, — lecz mnie się wydał jakiś podejrzany.

Czy to aby nie złodziej?

O ósmej nadeszła Benita. Była zmęczona, twarz miała smutną.

Opierając się o poręcz, jakby nie miała sił ciągnąć nóg, zaczęła wchodzić na górę.

Po upływie kilku minut Benita wróciła na dół.

— Zmęczyłam się stukaniem, — powiedziała, opadając na krzesło, — a nikt nie odpowiada. Państwo chyba wyszli?

— On — tak, — powiedziała oddźwierna, — lecz pani nie widziałam, żeby schodziła.

— Więc czemuż nie otwiera?

— Może zasnęła. Stukałaś?

— Aż się zmęczyłam, mówię pani. Najpierw dzwoniłam, a nasz dzwonek jest bardzo głośny, potem zaczęłam stukać we drzwi. O, Boże, czy aby się coś złego nie stało?

Oddźwierna namówiła Benitę, aby znów wznowiła próby. Dziewczyna usłuchała, lecz po chwili zeszła na dół blada o oczach napęcznionych strachem.

— Nie otwierają, — wyjąkała — nie otwierają, a pomimo to światło się pali w salonie. Widać odbicie przez dziurkę od klucza.

— A przedtem, kiedyś weszła po raz pierwszy też było światło?

— Nie zauważyła.

Señora Julia zmarszczyła brwi: sylwetka uciekającego „człowieka w popielatym płaszczu” stanęła jej przed oczami. Pomimo starca powiedziałła:

— Chodź, pójdziemy razem!

Benita potrząsnęła głową:

— Pójść tam? Nawet mnie tam nie zaciągną! A jeżeli byli złodzieje? Lepiej zawiadomić policję.

W tym momencie ukazał się na schodach don Luis świeży, wymuszkany uśmiechnięty, jak zawsze. Natychmiast powiadomiły go o tym co zaszło. Don Luis machnął z niedowierzaniem ręką:

— Zaraz będziemy wiedzieć, co się naprawdę stało — powiedział. Zwracając się do Benity, która w obecności pana nabrała nieco otuchy, dodał:

— Chodź, nie bój się. Prawdopodobnie żona zmęczona samotnością położyła się spać.

Weszli; on szedł naprzód. W kilka chwil potem señora Julia, której jej instynkt oddźwierniej kazał zostać na dole, usłyszała krzyki „na pomoc”, „na pomoc”! Natychmiast wraz z sąsiadkami, które wybiegły zewsząd rzuciły się na czwarte piętro. Na drugim przystanku spotkały Benitę i don Luis bladych, roztrzęsionych — schodzili czepiając się poręczy, nie mogąc przemówić ani słowa.

— Zamordowano panią! — jęczała Benita. — W salonie! Umarła... O, jaka straszna!... Widziałam ją... umarła.

Zamordowanie Luz Esteban zafascynowało zaciekawieniem ogółu i wzniciło ruch wśród reporterów gazet na długie tygodnie. Stwier-



dzono, że celem mordu była kradzież, gdyż morderca uciekł, zabierając wszystkie klejnoty, pieniądze i wartościowe rzeczy, jakie były w szafach. Lecz sam pozostał niewyjaśniony i niewykryty. Opierając się na oświadczeniu siostry Julii i innych osób, dzienniki mówiły nieustannie o człowieku w „popielatym nieprzemakalnym palcie” bez prawej ręki. Lecz nawet ta odznaka dostatecznie wymowna i charakterystyczna — nie dała żadnych rezultatów.

Świetny psycholog don Luis, obmyślił do najdrobniejszych szczegółów detale swego strasznego dzieła. Był bowiem pewny, że brak ręki łatwo symulowany jedynie przez niewłożenie odpowiedniego rękawa płaszcza było anomalią zwracającą uwagę do tego stopnia, że wystarczyło tylko tego jednego, aby nikt nie przyglądał się jego twarzy.

Sekeja i oględziny zwłok stwierdziły, że morderca musiał być małym, gdyż na to wskazywała straszna rana, przez którą wyleciała dusza Luz Esteban. Zeznanie Benito, że to nie pan, lecz pani właśnie dała jej tego dnia zwolnienie, było również na korzyść don Luis'a. Fakt pozostawienia światła w salonie i w alkowie także postawiło go poza nawias jakiegokolwiek zarzutów, gdyż o szóstej popołudniu, gdy oddzwierna widziała go wychodzącego, było jeszcze widno. Wszystko więc mu sprzyjało. Wreszcie kradzież, którą symulował, przyczyniła się bardziej niż cokolwiek do dezorientowania opinii i sprawiedliwości i tym razem Prawda nie wyszła na wierzch.

E. ZAMACOIS

Tł. Helena Bychowska

Ilustracje M. Szczesniewskiej





Marsjanie w Warszawie

Punktualnie o godzinie siedemnastej torpeda międzyplanetarna koloru uda podniecone nimfy — jak wyrazić się mógł popularny w stolicy redaktor L. — wylądowała na placu Małachowskiego, tuż koło Zachęty, przy czym oberwała kilka gałęzi rosnących tamże kasztanów oraz wielki palec u nogi spoczywającego tamże Peowiaka.

Marsjanie szykowali się do generalnego natarcia na ludność stołecznego miasta Warszawy.

Punktualnie o godzinie siedemnastej minut piętnaście zdyszany redaktor L. wpadł do gabinetu naczelnego i z trudem chwytając oddech, wołał od progu:

— Szlagier, panie redaktorze! Szlagier!!! Marsjanie na pla... na pla...

Poczem nie dokończywszy zdania zemdlał ze wzruszenia. Kiedy go woźny Kopelkowiec ocucił lejąc na łeb całą karafkę wody, reporter, krztusząc się i pluając wodą, wykrzyknął:

— Dodatek nadzwyczajny! Maszyny w ruch! Tekst cycero! Lecę teraz prosić o wywiad ich głównego...!

Naczelny ziewnął, kilka razy zamrugał powiekami, w końcu palnął pięścią w blat biurka.

— Bujda, panie L. Z pana nigdy nie będzie rasowy dziennikarz, panie L. Panu w głowie zajęczki, pa-

nie L. Ile pan dziś wypił, panie L.?! Dziś, kiedy dajemy kolumnę loterii państwowej, pan mi wyjeżdża z jakimś tam Marsjanami! Takich bujd nasza publiczność nie lubi, panie L. Bujać to my, a nie nas, panie L. Postaraj się pan lepiej o ten wywiad z Walasiewiczówną, panie L. Podobno tam coś już przewachaili w „Zieleniaku“, że z jej płcią nie zupełnie w porządku. Pojedź pan do Zoo, panie L. Dzwonił mi dyrektor Żabiński, że Żabinka, czy jak jej tam, dość że ta słoniczka, spodziewa się potomstwa. Zrób pan nową ankietę panie L. na temat nowej Żabinki. Sprokuruj wywiad z Kusocińskim, podobno zwichnął sobie mały palec u lewej nogi. To są szlagiery, panie! Tego żądają nasi czytelnicy. A ten mi tu z Marsjanami! Won!!

— — — — —
Nawet słynny nasz stołeczny

astrolog, p. Szarża-Marszbieki, faktu tego nie przewidział i w gwiazdach nie odczytał. W jego „Kąciku“ owszem była mowa o koniunkcji Merkurego i Wenerę, co wywołało z miejsca groźną opozycję Jowisza, wobec czego trygon księżycy z Saturnem obiecywał na ten dzień lekką niechęć do pracy w dziedzinie dentystyki; dziecko urodzone tego dnia okazać miało niezwykłą skłonność do płci odmiernej i talent do gry na klawecie. W godzinach po południowych należało wykupić los na loterii, a to z zegarkiem w rękę o godzinie szesnastej minut siedemnaście, przy czym los ten przegrywał, gdyż w chwili tej następuje akurat dysharmonijne połączenie Ryby z Rakiem, to też wibracje obiecywały spokój osobom zatrudnionym tylko w przemyśle szmuklerskim, blejtramowym, tudzież sztucznych zębów.



O Marsie tego dnia nie wspominał jakoś ani słowa.

Punktualnie o godzinie siedemnastej minut piętnaście Polskie Radio nadało audycję nadzwyczajną w wykonaniu prof. Meisnera pt. „Cała Polska z Marsem śpiewa”. Sympatyczny profesor z właściwą mu słodyczą w głosie i z tremą usprawiedliwioną przez te nadzwyczajne wydarzenie, zaintonował piosenkę, którą powtórzyła zanim polska działwa, a zgromadzeni na placu Małachowskiego Marsjanie z punktu przetransmitowali na Marsa. Całe piosneczki w pośpiechu nie udało nam się odnotować. W każdym razie zaczynała się ona następująco:

*„W małym ogródeczku
Przyjechali z Marsa
Stanęli w kółeczku...”*

Bardzo ładna piosenka nadzwyczajnie się dzieciom Marsa podobała, czego najlepszym dowodem były stosy listów do Polskiego Radia od działwy tamecznej z prośbą o natychmiastową retransmisję z powrotem na Ziemię.

Punktualnie o godzinie siedemnastej u inżynierostwa Siup-Siupstałskich zaczęła się rozgrywka szlemika mecenasowej Obertasowiczowej, kiedy w chwilę potem rozległ się alarmujący telefon. Dzwonił z miasta mecenas Obertasowicz, donosząc o niesłychanym wydarzeniu. Inżynier Siup-Siupstałski, który był już grubo przegrany, zerwał się z miejsca po kapelusz, laskę i kalosze, chcąc biegnąć na plac Małachowskiego. Inżynierowa Siup-Siupstałska dostała spazmów, ale mecenasowa Obertasowiczowa zaprotestowała gorąco przeciwko tym niesmacznym manifestacjom:

— To już jest, proszę ja państwa, świństwo! Ja tu rozgrywam kózczka, szlemik leży jak drut, a inżynierowstwo, proszę ja państwa, jakieś tu hopsadryłki z Marsjanami. Rozegramy — pójdziemy. A póki ja tego szlemiku nie rozegram, żadne tam Marsjany czy Persjany nie a nie mnie obchodzą, proszę ja państwa...!

Punktualnie o godzinie siedemnastej w gabinecie emerytowanego.



starosty i kapitana Trzmielbrzmiw-trzeńskiego, kierownika i szefa dodatku filmowego PAT'a zjawił się fotograf, pan Mizdrzyk, złapał aparat i chciał lecieć na plac Małachowskiego.

— Marsjanie, panie szefie! Coś dla naszego dodatku filmowego Pat'a!

Emerytowany kapitan Trzmielbrzmiwtrzeński odłożył na chwilę bułkę z kışką pasztetową, którą akurat trzymał koło ust, mlasnął dwa razy językiem i rzekł tonem stentorowym:

— Odlóż pan aparat na miejsce, panie Mizdrzyk. Dodatek mamy już skompletowany. Kolomyja z lotu ptaka — jest? Jest. Hufce żeńskojunackie na uroczystości złożenia wieńca na grobie Władysława Łaskonogiego — są? Są. Capstrzyk straży ogniowej w Rembertowie z udziałem starosty — jest? Jest. No to po co nam jeszcze jacyś Marsjanie?! Bujda, panie Mizdrzyk!

Punktualnie o godzinie siedemnastej minut dwadzieścia ośm w garsonierze Dudusia na miękkiej

sofie spoczywała Niusia. Pod przyciszone dźwięki Debussy'ego, które płynęły ze wspaniałej dudusiowej superheterodyny Radio-Union, Duduś trzymał Niusię za nóżkę.

— A cyja to nóżka? — pyta Duduś.

— A Niusi nóżka — odpowiadało dziewczę.

— A cyj to bziusiek? — pytał dalej niedomyślny Duduś.

— A Niusi bziusiek — zgadywało fenomenalne dziewczątko.

W tej samej chwili ze wspaniałej dudusiowej superheterodyny ryknął głos sympatycznego speakera, Tadzia Bocheńskiego:

— Proszę państwa, mam państwu do zakomunikowania ważną nowinę. Messieurs, mesdames et mademoiselles... — poczem mówił bardzo długo, aż wreszcie skończył: „Na placu Małachowskiego wyładowała ekspedycja Marsjanów!”

— Psiakrew, do diabła z tym radiem! — zawołał zrywając się Duduś i przekręcił gałkę.

E. S.

Ilustracje M. Szczesniewskiej



WŁASNA ELEKTROWNIA WE WŁASNYM DOMU!

AMERYKAŃSKIE AGREGATY POWIETRZNE FABRYKI
„WINCHARGER“

o mocy 350 do 1000 Watt, napięcie prądu 12 do 110 Vol^t

Niezastąpione BEZPŁATNE źródło
elektryczność i dla oświetlenia, siły i radia

OPISY TECHNICZNE I OFERTY NA ŻĄDANIE

INŻ. CZESŁAW KOŁODZIEJSKI

Warszawa, Plac Napoleona 3, tel. 228-20
Biuro i salon wystawowy



Girlsy z filmu „Bel Ami” fot. Polski Tobis

Charlotte Daudert nowa gwiazda kinowa. Fot. Polski Tobis



Klechdy lasów północnych

Po tegich trzaskających mrozach, w Trzy Króle przysła nagle do puszczy kresowej odwilż kilkudniowa, owinięta w ciepłe mgły opalowe.

Miszuk — stary niedźwiedź samotny — przebudził się w swojej jamie, poczuł że jest całkowicie w kąpieli zimnej wody, zatrząsł się febrycznie i powoliteńku chwiejnym krokiem wylazł z barłogu. Mocny sen zimowy zabrał mu około puda żywej wagi, wyglądał więc obecnie dosyć obwisłe i lachmanniarsko. Zaczął się przeciągać, czołchrać o pnie sosen, ziewać, wytrząsać śmiecie barłogowe ze skoltunionych kudłów, wreszcie powłókł się dalej, aby się nieco odświeżyć i napić wody z wielkiej kałuży na wrzosowisku.

Wracając z powrotem do swego ciemnego i śmierdzącego barłogu, natknął się w drodze na wychudłego również, mocno przygnębitego wilka, który — gdy chodzi sam po lesie — zawsze ma w sobie coś z wisielca, czy nieboszczyka, — ruchliwszym zwykle się staje poza lasem, w prospekcje bardziejżywionego krajobrazu. Przystanęli. Parę warknięć powitalnych.

Urr... ur... mokro, wstrętnie... Co słychać na świecie? —

Hę?... br... Co ma być słychać? Nic nie słychać... Nędza — głód — bągno. Pocóż pan przerywa sobie senatorską drzemkę, wylazi ze swej sypialni? Na co — po co? Reumatyzm przecież nie czeka powrotu pogody. —

Phy!.. urr... Podmoczyło mnie. Kiepsko sypiam w odtajanie. No — ale cóż tam nowego de publico, bo dawno, już dawno nikogo przyzwoitszego nie widziałem? —

— Nie wiem, psiakrew — nie nie wiem; nie mię to nie interesuje. Cholera mi trzęsie flaki na starość,

do niczego się nie wtrącam. Tu spasiona wiewiórka, skacząca rzeźko po konarach dębu, przystanęła nagle nad głowami poważnymi, rozmawiających obszarników i histerycznie piskliwym głosem zaczęła wywrzaskiwać — „bujda! bujda! bujda! —

Obaj władcowie boru podnieśli głowy, popatrzyli na nią ponuro, ale nie rzekli nic, tylko wilk podrapał się w brzuch.

— Powiadam wam sąsiedzie — ciężkie jest życie starego wilka, bez rodziny, pomocy, kredytu, bez stosunków w takim oto wyludnionym pustkowiu, przez które przecież kiedyś szła kolej żelazna. Jeść nie ma co, dostęp do owczarni i stajen nadzwyczaj utrudniony przez to, że psy-kanalie, ni z tego ni z owego zachorowały na pracowitość i uczciwość. Nie słyszysz — radca — jak ujadają już na nas o pięć wiorst? —

Tsy.. tsi!.. rzeczywiście — dziwił się dobrodusznie Miszuk.

— Wściec się można, doprawdy, z nędzy i irytacji. Myślałem, że zmienione po wojnie warunki bytu przyniosą jakieś realne korzyści dla naszego procederu, że — paniedziejski — zacznie się jakaś racjonalna hodowla owiec, jakieś wypasanie świń w dąbrowach na żółdziejach, no! jakaś większa swoboda w rozwijaniu w sobie krajoznawstwa u żrebaków, — a tu nie tylko reakcja, reakcja i nastawienie na każdym kroku w hodowli bydła. —

— Myślę — tu niedźwiedź chrząknął znacząco — że pan za dużo wymaga od świata, a za mało ceni wolny handel i przemysł zdobywczy. Nie można ciągle polegać na organizacjach, należy więcej zatroszczyć się o intensywniejszą pracę jednostki. Świat należy do zdecydowanych i pomysłowych, co podo-

бно drzewiej było właśnie wybitną cechą naszego łowiectwa. —

Wiewiórka zaczęła znowu bezsensownie skakać i wywrzaskiwać namiętnie, histerycznie — bujda! bujda!

— Kiedy pan sam nie rozumie, co pan mówi — zapienił się wściekle wilk. — Najwspanialsza energia jednostki bez posiadania właściwego terenu, czy środowiska do jej wykazania i rozwinięcia życiowego będzie w końcu tym, co powtarza nasza ruda koleżanka tam z paradyżu gałęzi. Życie stwarzają warunki i warunkują je przez całe życie. To nie jest — paniedziejski — wilczy paradoks, a to jest najprawdziwsza... (wiewiórka znowu z gałęzi niepoczytalnie — bujda! bujda! bujda!).

— Urr... utr... urr... — zamruczał Miszuk. — Błąd jest po waszej stronie. Rozumujecie nadzwyczaj subiektywnie. Jednostka organiczna, zorganizowana i organizująca też może stwarzać pewne warunki bytowania odpowiednie...

— Naprzykład — sarkastycznie podchwycił wilk. — Wasz rozkoszny i długi i przyjemny sen zimowy w bezwładzie barłogu musi być poetyczną koncepcją waszego praszczura, w celu zachowania starożytności szlachetnego rodu i jego wzniosłych tradycji sennych.

— Nie proszę pana, — łagodnie odsapnął Miszuk — przychodzi ot taka pora, że ja nie mam nic do robienia, nic do powiedzenia w lesie... (wiewiórka podchwytuje ironicznie z gałęzi — „nic do zjedzenia!“ —). Mylisz się kochaneczko! Gdybym chciał iść lupieską drogą wilka, napewno miałbym większe powodzenie życiowe, gdyż jestem znacznie od niego silniejszy i energiczniejszy, przedstawiam znacznie wybitniejszą osobowość, ja to podobno głównie warunkuje nasze bytowanie... Ale ot co! Zachęć mi się spać — czy wiecie kochanie — ot!

tak przy pierwszych przymrozkach, sennaść jakaś słodka, rozmarzająca, słodka jak posoka uła, sennaść... aaa!.. Chowam się w moje rodzinne pielesze, obtykam zewsząd dobrze, przykrywam ciepło i zasypiam. Ach! jakież ja sny mięwam precudowne, jakie nowinki, iakie marzenia! Śni mi się na przykład, że znowu jestem królem puszczy i panuję — panie mój kochany — panuję! Rozsądzam sprawy w boru tak siak: tego w mordę — panie — mocno z miejsca, tego łagodniej po łnakówce, a tamtemu nogą — panie; w żywocik, żeby podatki — panie — regularnie wnosil. Ład i mir boży — panie — u mnie. A daniny, a prezenty, a siurpryzy — panie — jak sami znoszą! Ot! wzruszona wspaniałością majestatu i postaci i użytecznością władzy najwyższej szlachetna krowa własne tygodniowe cielátko mi przprowadziła! —

— Smaczne było rajsco?.. — młaskając śliną, wyszeptał wilk.

— Ach! przebudziłeś się władco?.. — zagadnął przebiegający drogą stary wszarz lis. — Cóż to za gałówa? Jak się macie pierniki?

Niedźwiedź i wilk coś mu tam odwarknęli mało przyjemnego, gdyż lis nie należał do towarzysztwa — i dla podkreślenia swego spokojnego ztekecważenia jego proletariackiej postaci — niedźwiedź ciągnął:

— Więc co chciałem powiedzieć... Panowanie moje otoczone było nieczmiernym aplauzem puszczy (tu Miszuk siadł na zadzie i łapą przednią otarł sobie łzę wielkości gruszki) niezglębioną miłością i przywiązaniem całego mego ludu puszczy... W lesie panowała stale atmosfera wiecznej wiosny ducha, rozrastały się w potęgę pieśni lasu i wszystkie sztuki piękne (wiewiórka znowu histerycznie — „bujda — bujda — bujda, —), rodziła się myśl głębsza współzycia i współbiedniactwa obywateli pod



egda możnowładztwa; na prawdę zaczynała się pod moim szczęśliwym panowaniem nowa radosna era dla wszystkich ludów puszczy, gdy... przebudziłem się oto nagle — oto...

— I co Cię przebudziło, Panie? — pyta wilk, szczerze już wzruszony opowiadaniem niedźwiedzia.

— Podmokłem bardzo... zachciało mi się zresztą trochę — zamruczał sennie niedźwiedź.

— W tym sęk właśnie — dorzucił szyderca urzędowy lis (z proletariatu — wiadomo!) — jakże to było w czasie tego cudnego snu ze ssaniem łapy?

— Ale powracając do mojej tezy — rzekł znów z emfazą Miszuk — twierdząc, że życie jest piękne, bez snu i bez marzenia nie jest warte. Trzeba jednak wiedzieć, kiedy zasypiać i *poco* zasypiać. Urządzić sobie, panie, życie według pewnego planu i postanowienia, iść przez nie choćby drogą samotną, ale pewną i krokiem mocnym, zdecydowanym, ale koniecznie trzeba mieć swój własny barłóg — chciałem powiedzieć swój własny świat, właściu-

teński światek zapomnienia w sobie, aby się nie wykołocić z rzeczywistości bytu... (tu ziewnął serdecznie) ..a! a! a! Włóczęga radzę ci kochany bracie wilku, w chwilach rozgoryczenia do społeczeństwa, czy do wielkich, bardzo często trudnych rzeczywiście do zrozumienia praw naszej wielkiej puszczy, nie szukaj przyczyn, nie analizuj, kto jest autorem wszystkich twoich bolesnych nieporozumień życiowych, a znajdź sobie motyw i tonację snu (tu znów ziewnął na cały las a! a! a!) i zaśnij mówię ci — zaśnij. No, bywaj zdrow!

Wilk spuścił łeb jeszcze niżej, niż zawsze i zamyślił się głęboko. Lis zaczął zębami szukać drobnych w pachwinie, a potem szyć na maszynę tylną łapą pod brodą. Wiewiórka wydobywała orzeszki ze swej spiżarki, gryzła je i skorupki rzucała na łep wilkowi. Miszuk powłókł się do swej nory, włożył w mokry barłóg z pogodnym sapaniem, mlaskaniem, wzdychaniem i zaczął się układać do snu z powrotem. Zmierzchało się w boru.

JAN KANTY LESZCZYC

CZYTAJCIE NAJSTARSZE CZASOPISMO
LITERACKO - SPOŁECZNE

TYGODNIK

ILLUSTROWANY

ZAŁOŻONY W ROKU 1859

TYGODNIK ILLUSTRROWANY

jest nadal ulubionym czasopismem
Rodziny Polskiej i przynosi prace
najlepszych piór
publicystycznych i literackich

TYGODNIK ILLUSTRROWANY

wraz z dodatkami magazynu
„NAOKOŁO ŚWIATA” i „BIBLIOTEKĄ
POWIEŚCIOWĄ”, ma obecnie naj-
tańszą prenumeratę zbiorową —
zł. 6.50 miesięcznie z dostarcze-
niem do domu.

**Żądać szczegółowych prospektów —
i numerów okazowych
WARSZAWA, UL. ZGODA 12**



Paul Klinger w najnowszym filmie „Dwie kobiety. Fol. Polski Tobis



CZŁOWIEK W MASCE

W lokalach rozrywkowych Nowego Jorku, o jedenastej wieczór, życie zaczynało dopiero przybierać przyspieszony rytm.

Na ulicach neony zamieniły noc na jasny dzień, teatry, kina i restauracje były przepelnione; długi sznur samochodów sunął jezdnią. Jeden z tych samochodów, mały dwuosobowy popielaty wóz, skręcił w mniej ludne ulice, po pewnym

czasie minął Greenwich Village, przedmieścia, i stanął dopiero o kilka kilometrów za miastem przed furtką samotnej willi. Z samochodu wysunął się mężczyzna, ostrożnie zamknął drzwiczki, pochylił się nad zatrzaskiem w bramce, otworzył i wszedł do ogrodu. Przez chwilę przyglądał się nicoświecącym oknom, następnie podszedł do jednego z nich na parterze, znowu coś

pomajstrował, a gdy się otworzyło wspiął się zręcznie, przerzucił nogi przez parapet i znalazł się w salonie. Stamtąd nie zapalając światła dostał się na pierwsze piętro i pewną ręką otworzył drugie drzwi z korytarza na prawo.

Cicho i bezszelestnie krążyła ciemna postać po pokoju, zatrzymała się na chwilę, nacisnęła ukrytą w boazerii sprężynkę i w ścianie otworzyła się skrytka. Mężczyzna szybko przeszukał jej wnętrze, podszedł do nocnego stolika i... stanął jak wryty nasłuchując. Z sąsiedniego pokoju dochodziło łkanie. Człowiek mruknął zdumiony:

— Do licha, kto tam może być?

Przez chwilę stał niezdecydowany, postąpił krok, zawahał się, potem skradając się cicho po miękkim dywanie, podszedł do drzwi wiodących do sąsiedniego pokoju. Pod jego palcami klamka nie szczyknęła, wsunął się jak cień.

Pokój, do którego wszedł był bu-duarem, urządzonym, zdawało się, z wielkim komfortem. Oświecał go jedynie odblask płonącego na kominku ognia. Blask ten padał tu na złożoną ramę obrazu, tam na fotelik kryty adamaszkiem, poza tym w mroku zarysowywały się jedynie kontury mebli.



Przy samym kominku, w wielkim fotelu, zwinięta w kłębek, jak zranione zwierzę, wstrząsana łkaniem leżała kobieta. Włamywacz przez chwilę stał nieruchomo przyglądając się jej. Łkanie stawało się coraz rozpaczliwsze, szlochając coś mamrotała. Pochwycił parę słów, wypowiedzianych po grecku:

— Och, jakaż ja nieszczęśliwa!

— Hm — mruknął — rodaczka! Trzeba ją jakoś pocieszyć, nie znoszę kobiecych łez. Mam nadzieję, że nie narobi krzyku! No, dom jest pusty, więc było, nie było — zaryzykuje!

Parę posuwistych kroków i przekreślił kontakt. Światło zalało pokój. Kobieta zerwała się, jak gdyby smagnięta. Oślepiąca nagle jasność stała naprzeciw niego, mrużąc zapuchnięte od łez oczy. Powoli oczy te napępniały się przerażeniem, wpatrując się w stojącego przed nią mężczyznę w masce. Usta jej rozchyliły się do krzyku.

— Niech pani się nie boi — przemówił pośpiesznie, posługując się tym samym co ona językiem. — Jestem włamywaczem - dżentelmenem — kradnę, ale zapewniam panią, że nie skrzywdziłbym kobiety, a tym bardziej tak pięknej kobiety jak pani.

Rzeczywiście musiała być ładna, choć obecnie twarz miała zapuchniętą od płaczu, ale rozszerzone strachem oczy były wielkie, czarne i błyszczące — małe drgające jeszcze usta — czerwone i świeże, czoło niskie, włosy ciemne i lśniące, okalały wdzięczny owal twarzyczki. Postać jej była zgrabna i gibka. Musiała być bardzo młoda, twarz jej miała wyraz skrzywdzonego dziecka.

Chełwie wsłuchiwała się w dźwięki ojczyściej mowy, strach znikł, usta złożyły się do nieśmiałego uśmiechu.

— O, tak dawno już nie słyszałam nikogo mówiącego po grecku.

Ale co pan tu robi? Czy pan jest — Nie jestem gangsterem. Nie porywam kobiet, raczej ich biżuterię — odpowiedział śmiejąc się. — Pani także coś niecoś porwałam. Ale... ponieważ widzę, że pani ma jakieś wielkie zmartwienie i nie chcę pani przysparzać przykrości, oddam... — sięgnął ręką do kieszeni.

Wzruszyła ramionami:

— Ach, biżuteria! — rzekła z pogardą. — Gdybym nie miała większych zmartwień!... I na cóż mi biżuteria? Dla kogo mam się stroić?

— Widzę, że zmartwienie jest nawet większe niż myślałam — rzekła. — Młoda, piękna kobieta, która nie dba o brylanty i perły — to niesłychane! Kim pani jest? Nie spodziewałam się tu zastać kobiety. Gdybym usłyszał łkanie...

— ... wszedł pan do pokoju, narażając się na niebezpieczeństwo — przerwała. — Mogłam przecież mieć broń. Dlaczego pan to zrobił?

— Bo choć jestem stary, ale głupi. Nie mogę obojętnie słuchać, gdy kobieta płacze.

Uśmiechnęła się smutnie:

— Nie każdego to wzrusza — powiedziała. — Jak pan tu wszedł?

— Przez okno na dole, w salonie. Znałem dobrze tę willę, gdy należała jeszcze do poprzedniej właścicielki, starej hrabiny de Noiselle. Znałem też skrytkę w jej sypialni i pomyślałem, że może tam i teraz coś cennego przechowują. Wiedziałem, że obecny właściciel zamieszkał w nowojorskim hotelu i nie zamierza wracać do tej willi na pustkowiu, a gdy dziś z rana przechodząc usłyszałem, że cała służba wybiera się do teatru... Cóż pani chce, nie wytrzymałem!.. — rozłożył ręce. — I oto jestem. Nie spodziewałem się zastać nikogo. Poparigopulo o ile wiem nie jest żonaty? Może siostra...?

— Myli się pan, ja jestem jego żoną. Ale nikt o tym nie wie, a

on sam stara się o tym zapomnieć.

Znowu oczy jej napełniły się łzami. Spojrzał na nią ze współczuciem; była taka młoda, śliczna i bezbronna.

— Pomimo tak niekonwencjonalnie zawartej znajomości niech mi pani wierzy, że chciałbym pani pomóc! Może by mnie pani jednak powiedziała, na czym polega tragedia? Jako rodakowi... i człowiekowi tak dużo starszemu od pani, człowiekowi, który mógłby być pani ojcem...

Przyglądała mu się odrobinę nieufnie. Chęć wyżalenia się walczyła w niej z rozsądkiem. Złodziej... włamywacz... Lecz z drugiej strony — nikogo tu nie знаła, z nikim się nie mogła porozumieć, u nikogo szukać pomocy. A on mówi po grecku i wzruszył go jej płacz. Wszedł choć mógł myśleć, że ma broń, że go zatrzyma i wezwie policję. A jednak wszedł...

Wskazała mu ręką fotel:

— Niech pan usiądzie. I gdyby... gdyby pan zechciał zdjąć maskę.

Tak pan niesamowicie wygląda.

Zaśmiał się, usiadł, ale maski nie zdjął.

— Nie — rzekł. Musi pani wiedzieć, że prowadzę podwójne życie. W Nowym Jorku jestem dość znanym i szanowanym człowiekiem z towarzystwa. Moglibyśmy się kiedyś spotkać.

— Więc chce pan, bym panu ufała, a mnie pan nie zaufa?

— To co innego — powiedział. — Myślę, że pani tajemnica nie jest kompromitująca?

— Nie... A więc, dobrze — zdecydowała się nagle — opowiem panu swoje dzieje.

— „Jestem Greczynką. Urodziłam się w Naupli, małym miasteczku nadmorskim. Matka moja umarła, gdy miałam trzy lata. Ojciec miał bank w Atenach, pozostawił mnie



w Naupli pod opieką starej wychowawczyni mojej matki. Spędziłam samotne dzieciństwo. Nie pozwalano mi bawić się z dziećmi rybaków, ojciec przyjeżdżał rzadko i nie podtrzymywał w miasteczku żadnych stosunków.

— Od dzieciennych lat mówiono mi, że gdy dorosnę zostanę żoną swego kuzyna Teodozjusza Poparigopulo, syna mego stryja, który przed laty wyjechał do Ameryki. Przyzwyczaiłam się do tej myśli i nie znając kuzyna już go kochałam. Pewnego dnia ojciec przyjechał i oświadczył mi, że niebawem przybędzie Teodozjusz i odbędzie się nasz ślub. Mówił śmiejąc się: „Pisał do mnie prosząc o pożyczkę. Ma zrobić jakiś niezwykle interes i potrzebuje pieniędzy. Interes jest dobry — pożyczę mu — ale wtedy, gdy będzie już mym zięciem“. Ojciec nie doczekał się jednak mego ślubu — umarł nagle w Atenach. Do Naupli przywieziono jego zwłoki i pochowano je na miejscowym cmentarzu obok mej matki. Zostałam sama na świecie, mając lat szesnaście. Wkrótce po tym przyjechał Teodozjusz. Był taki inny od młodzieńców, których spotykałam na ulicach Naupli, elegancki, swobodny. Teraz już, znając go pokochałam go jeszcze więcej. On jednak zdawał się wciąż niezadowolony. Nie podobało mu się w starej ojczyźnie, był już prawdziwym Amerykaninem. Na mnie spoglądał oziębło. Jednak niebawem odbył się nasz ślub. Byłam szczęśliwa, ale on traktował mnie w dalszym ciągu, jak siostrę, nie jak żonę. Śpieszył z wyjazdem. Zlikwidował bank ojca. Na statku płynąc do Ameryki powiadomił mnie o swych planach. Kochał jakąś Amerykankę, musiał się jednak ze mną ożenić, bo potrzebował pieniędzy. Mówił mi, że ponieważ mało się znamy, a wcale nie kochamy (mnie, która od dzieciń-

stwa żyła z myślą o nim), więc chyła nie będę miała nic przeciwko temu, że nasze małżeństwo potrwa tylko rok. Opowiadał, że kupił jakiś patent, który po roku da mu duże zyski i pozwoli zwrócić mi pieniądze, a wtedy będziemy wolni. Będąc młodą, ładną i bogatą będę mogła prowadzić w Ameryce życie bez troskie i wyjść za mąż za innego. A on... on ożeni się z Daisy. Muszę tylko mieć cierpliwość przez ten rok. Rozplakałam się i wyznałam, że go kocham. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem i potraktował moje uczucie, jako wybuch histerycznego podlotka. Nie widywałam go prawie na statku, wiecznie był zajęty innymi, dla mnie nie miał chwili czasu. Przed zejściem na ląd prosił, bym trzymała nasze małżeństwo w tajemnicy. Wołał, by Daisy o tym nie wiedziała — po co, gdy za rok i tak się wszystko ułoży. Przywiózł mnie do tej willi i mieszkam tu już od pół roku — sama — otoczona cudzoziemcami, nie mająca do kogo słowa przemówić, nawet ze służbą zaledwie mogę się porozumieć, gdyż źle mówię po angielsku. Teodozjusza widuję raz na parę miesięcy i wiem, że spędza ten czas z Daisy i z przyjaciółmi, którzy nawet nie wiedzą o moim istnieniu. Zbliża się termin, gdy utracę go na zawsze. Czyż to nie męka? I co mam robić?

Mężczyzna słuchał z przejęciem. Gdy skończyła i milcząc siedziała w pozie, wyrażającej bezgraniczne zniechęcenie, skinął głową i odczekał się:

— Znam pani męża. Spotykamy się często, dlatego mnie tak zdziwiło, że ma on żonę, a ja nie o tym nie wiem. Znam także pannę Daisy, ale pani jest stokroć piękniejsza, niż ona.

Na chwilę rozpromieniła się, lecz wnet twarz jej znów spochmurniała.

— Cóż z tego? — rzekła — gdy on tego nie widzi. Woli wesole, wysportowane i Amerykanki, uważa mnie za niewspółczesną, nudną kobietę. Co prawda byłam wychowywana specjalnie surowo, ale w ogóle w Grecji nie panują takie, jak tutaj swobodne zwyczaje. Kobiety tam są skromniejsze. Jakżesz mam bronić mej miłości przed Amerykanką, gdy nie umiem walczyć jej sposobami.

Popatrzył na nią uważnie:

— Co pani robi, gdy mąż przyjeżdża? — spytał.

— Jak to, co robię?

— Na pewno robi mu pani sceny oblane łzami. Nie dziwnego, że woli tego unikać. A przecież w Grecji kobiety zawsze umiały czarować mężczyzn i właśnie tam, gdzie są one bardziej kobiece, potrafią najlepiej zdobywać serca. Pani jest bardzo młoda, ale na południu kobiety wcześniej dojrzewają, na pewno ma pani cały arsenał broni kobiecej, trzeba go użyć.

Uśmiechnęła się zalotnie i stała się tak czarująca, że mimo woli się na nią zapatrzył. Otrząsnął się jednak po chwili i mówił dalej:

— Dlaczego pani tak poddaje się jego woli? Pani ma też swoje prawa. Niech pani jedzie do miasta, niech pani się stroi, niech pani bywa na balach i dancinгах. Gdy zobaczy panią wesolą, pięknie ubraną, otoczoną rojem wielbicieli, przypomni sobie, że pani jest jego żoną. Niech pani zażąda pieniędzy, przecież to pani majątek. Może mu pani przyrzec, że będzie pani występowała jako panna, ale niech pani przeprowadzi swoją wolę.

Przez chwilę patrzyła na niego wzrokiem pełnym nadziei, lecz wnet znowu się zasępiła.

— Pieniądze mam, ale co bym robiła w Nowym Jorku, gdzie nie znam nikogo?

— Ależ to głupstwo — rzekł. — Po pewnym czasie znajdzie pani

znajomych. A na początek istnieją przecież biura, gdzie znaleźć można dzentelmena godnego towarzyszenia pięknej kobiecie.

— Płatny towarzysz! — skrzywiła się. — Słyszałam o tym, ale to także należy do rzeczy, których się u nas nie robi.

— Hm — mruknął — pani mi zaufała... proszę mi ufać dalej. Mogłbym być pani towarzyszem. Nie skompromitowałbym pani. Zdejmę maskę i tym dam w ręce pani broń przeciwko sobie. Będzie więc pani zupełnie bezpieczna. Ufam pani...

Podszedł do lustra i zdjął zakrywającą twarz maskę. Poprawił włosy, po czym podszedł do niej, przedstawiając się:

— Jestem wicehrabia de Nion.

Ujrzała piękną i dystyngowaną twarz starszego pana.

— Matka moja była Greczynką — mówił — ojciec Francuzem. Przyjechałem do Ameryki robić majątek. Nie zrobiłem go! A ponieważ nie miałem czarującej kuzynki z odpowiednim posagiem, musiałem się rozejrzeć za innym źródłem dochodu. Prowadzę życie człowieka z towarzystwa, bywam w bogatych domach, od czasu do czasu wygrywam w karty duże sumy. Dyskretnie. Jeszcze nigdy nikt nie miał mi nic do zarzucenia. Od czasu do czasu urządzam podobne do dzisiejszej eskapady. Dotąd udawało mi się. Mam wcale niezły dochód. — Zaśmiał się i wyciągając rękę rzekł: — Bądźmy przyjaciółmi i sojusznikami!

Przez czas jakiś rozmawiali z ożywieniem. Mówili o Grecji, którą dobrze znał i tworzyli plany. Byli tak zajęci rozmową, że nie słyszeli kroków na korytarzu. Wtem drzwi otworzyły się i stanął w nich właściciel willi, Teodozjusz Poparigapulo.

— Heleno, co to ma znaczyć?! — krzyknął zdumiony. — Masz goś-



cia? O tej porze? A gdzie jest służba?

Młoda kobieta zerwała się na równe nogi. Przez chwilę twarz jej wyrażała zmieszanie. Lecz spojrziała na wicehrabiego i uspokoiła się. Oczy jego mówiły: „Uwaga! Teraz trzeba dobrze rozegrać partię!”

Siadła więc znów na fotelu i wycedziła spokojnie:

— Pozwoliłam służbie ich do teatru. Mnie dotrzymywał towarzystwa wicehrabia de Nion. Panowie się znacie.

Poparigopulo podszedł do żony. Nigdy nie widział jej taką piękną i ożywioną. Skąd się tu wziął ten wicehrabia? To było podejrzane. Czyżby to był jej kochanek? Poczul w sercu ukłucie zazdrości. Jechał do domu przekonany, że przybycie jego zachwyci Helenę. Miał zamiar spędzić z nią parę dni. Właśnie pokłócił się z Daisy i chciał szukać ukojenia w miłości żony. A tu taka niespodzianka! Był zgorszony i wściekły. Nie witając się z Nionem, którego znał, powiedział ostro:

— Dziwi mnie, że ty, zarzucająca

Amerykanom zbytnią swobodę w zachowaniu się, przyjmujesz tak późno wizyty. Naprawdę, Heleno, tego się po mojej żonie nie spodziewałem!

Wicehrabia de Nion wstał.

— Znałem ojca pani Heleny w Grecji i ją samą jako małą dziewczynkę. Dziś zobaczyłem ją w ogrodzie przed willą i wszedłem. Rozmawialiśmy o dawnych czasach i tak zeszło do późna. Teraz państwa pożegnám przepraszając za długą wizytę.

Pochylił się nad ręką Heleny i szepnął:

— Niech pani zręcznie gra, a zdołędzie go pani. Jest zazdrosny, to dobry znak. — A głośno. — Życzę wiele szczęścia. Do widzenia.

Odprowadzony przez Teodozjusza wyszedł z willi. W ogrodzie przystanął, spojrzął na księżyc i westchnął:

— Ach — młodość i miłość — to piękne rzeczy! Pewnie jej już nie zobaczę. No, życzę jej szczęścia. Na coś przydała się moja wizyta — i wsiadł do samochodu.

Gdy Teodozjusz wrócił do buduaru zastał żonę gotową do ataku.

Dobrze widocznie potrafiła użyć swego kobiecego sprytu, bo Teodozjusz nie wyjechał do miasta, natomiast po kilku dniach wyjechali razem w cokolwiek spóźnioną podróż poślubną do Miami.

Pani Helena schowała w biurku pamiątki — czarną maskę i list, który otrzymała wraz z małą paczuszką na kilka dni przed swoim wyjazdem. W paczuszce były klejnoty, a list zawierał tylko kilka słów:

„Niech pani się w nie stroi dla męża. Niech pani nie zapomni rad i nie poddaje się nigdy całkowicie. Mężczyzn trzeba krótko trzymać, życzę szczęścia.

Przyjaciel“.

Gdy przeczytała ten list zamyśliła się, a potem roześmiała się:

— Trzeba przyznać — szepnęła — że przyniósł mi szczęście ten włamywacz.

SKELBO

Ilustracje M. Szcześniewskiej



28. Oka. — 29. Karmita. — 32. Szkolił. — 34. Ra. — 35. Rano. — 38. Ar. — O. —
39. Pisali. — A. — 41. Kolendować.

2. ZADANIE NOWOROCZNE.

Życzymy wszystkim Czytelnikom naszego działu Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku.

3. KRZYŻÓWKA.

1. S. — 2. Lokaj. — 6. Minorka. — 7. S. — 8. Ema. — 9. K. — 10. Ot. — U. —
11. On. — 13. Tok. — 15. Ens. — 17. Ona. — 18. Pokrewieństwo. — 19. Kra. — 20.
Azn. — 21. Ara. — 22. Io. — O. — 23. Ot. — Ć. — 24. — Owa. — La. — 26. Arka-
dia. — 29. Konał. — I. —

4. ZADANIE MATEMATYCZNE.

15 uścisków.

NAGRODY

Za bezbłędne rozwiązanie zadań z Nru
176 nagrody otrzymują następujące osoby:

1. *Wacław Dumala* — Falenica, Centrala
automatyczna.

2. *Andrzej Grosse* — Kraków, Grodzka 60
m. 22.

3. *Kapitan Wiśniewski Adolf* — Lida 3,
77 p. p.

Nagrody rozesłane zostaną pocztą.

ODPOWIEDZI RED. DZIAŁU

3. *WPan Z. Wiatr.* Prace nadesłane przez
czytelników, jeżeli nadają się do druku, za-
mieścimy z przyjemnością, lecz nie honoru-
jemy.

DZIENNIK BYDGOSKI

PRZODUJE na obszarze Wielkiego Pomorza
pod względem nakładu,
poczytności i wysokiej wartości
propagandowej działu ogłoszeń

BYDGOSZCZ, POZNAŃSKA 12 — 14

Tel. zbiorowy 26-50